

LIBERTÉ!

numer 34/maj 2019



SEN O EUROPIE

MICHAŁ BONI ° BŁAŻEJ LENKOWSKI ° MAGDALENA M. BARAN ° MACIEJ MELECKI
MARTYNA SZTABA ° TOMASZ KASPROWICZ ° SŁAWOMIR DRELICH
PIOTR BENIUSZYS ° DAWID JURASZEK ° ADAM LELONEK ° MICHAŁ MAREK



MAGDALENA M. BARAN

Zastępczyni redaktora naczelnego *Liberté!*

Widzieliśmy płomienie. Był kwietniowy wieczór, gdy niebo nad Paryżem zasnuło się dymem. Miasto zdawało się na moment zaniemówić, by po chwili znaleźć się na ustach całego świata, kiedy to kolejne redakcje, serwisy, portale wykrzykiwały wiadomość, że oto płonie Notre Dame, dziecko nauki i liczby. Że płonie katedra – miejsce kultu, dzieło sztuki, przedmiot wyobrażeń, czy w końcu symbol... samego miasta, a dla wielu również i Europy. Że oto płomienie bezlitośnie pochłaniają budowlę, w której niegdyś to, co irracjonalne i nierzeczywiste – marzenie o katedrze – spotkało się z konkretnymi wyliczeniami, finansami, projektem, planem, ludzką pracą, która owemu marzeniu nadała kształt. Wiara z konieczności przeplatała się z rozumem, wznosząc katedrę, nad której tragedią pochylali się i wierzący i świeccy, w której odbudowę – jako budowli, bez której trudno wyobrazić sobie Paryż, jako istotnego elementu europejskiej kultury – w pierwszym odruchu ludzie zaangażowali się niezależnie od swoich poglądów, wierzeń, zasobów finansowych. Jakby raz jeszcze stać się mieli wspólnotą budowniczych, w których rękach leży już nie wnoszenie budynku „na chwałę Boga”, ale formowanie mitu, ratowanie tego, co konstytuowało ich wyobraźnię czy w koń-

FILARY

cu nadawało rys ich kulturowej tożsamości. Tamtej kwietniowej nocy, gdy strażacy czynili co w ich mocy by zapanować nad pożogą, wielu śledziło kolejne doniesienia o uratowanych skarbach, stopionych dzwonach, możliwych scenariuszach, odbudowie, co na dobrą sprawę zaczęła się już wtedy, gdy w katedrze wciąż szalał ogień. A później, rankiem, świat obiegły kolejne zdjęcia... I zobaczyliśmy, co ocalało.

Niegdyś „w momencie historycznym, kiedy nie zwolony jeszcze ze swoich trwóg człowiek dysponował wielkim bogactwem środków twórczych, narodziła się największa sztuka w Europie”. Wieki średnie dalekie były od ciemności, a Europa stawiała się Europą katedr. Im przecież zawdzięczamy „pierwszą spójną europejską kulturę, pierwszy podręcznik i związki zawodowe”. Pchały do przodu cywilizację, a ich czasy niektórzy wprost porównują do okresu rewolucji przemysłowej. Powiada się też, iż po dziś dzień „ludzkość nie stworzyła z kamienia niczego, co mogłoby się im równać”. Każda z owych budowli wymagała jednak precyzyjnych planów, dobrych fundamentów, wyliczeń, filarów zdolnych unieść ludzki zamysł, tak by powstałe dzieło było trwałe i stabilne. Tych z kolej wymagają nie tylko fizycznie trwające

budowle, ale i inne nasze wyobrażenia, nasze państwa, instytucje, a w końcu i najszerzej rozumiana tu wspólnota, jaka jest Unia Europejska. Bo może ona jest naszą współczesną, laicką, „katedrą”.

Podobnie jak średniowieczne katedry również i ona powstawała, krok po kroku, z marzeń i planów, z konieczności i potrzeby, z dostrzeżenia wartości wspólnoty oraz jej siły, pozwalającej współdziałać, przewycięzać kryzysy, wzajemnie się ochraniać, wspólnie rozwiązywać problemy, dostrzegać korzyści, czy w końcu wznosić się ponad różnice i podziały by uczyć się od siebie nawzajem. By jednak narody – dzielące wprawdzie kulturowe fundamenty swego istnienia, a przez to mające solidne podstawy do wzniesienia takie „budowli” – odniosły sukces, również i tej „katedrze” potrzebne były filary podtrzymujące sklepienia, tak by dach nie spadł nam na głowy. Owe filary wspólnoty wpisano zatem w dokumenty powołujące ją do życia, już w preambule Traktatu o Unii Europejskiej przywołując „kulturowe, religijne i humanistyczne dziedzictwo Europy, z którego wynikają powszechne wartości, stanowiące nienaruszalne i niezbywalne prawa człowieka, jak również wolność, demokracja, równość i państwo prawne”.

Wszystkie one – już w art. 2 rozszerzone o zapis o społeczeństwie „opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn”, gwarantujące dalej wspieranie pokoju czy przestrzeni obywatelskich wolności oraz szerokiej ochrony – są owymi filarami, pozwalającymi nam trwać, tworzyć wspólną narrację, ale i budować więzi, odmienne wprawdzie od tworów z kamienia, ale nie mniej istotne, żywe, otwarte, podlegające nieustannym modyfikacjom, a jednocześnie służące wspólnemu celowi. Filary gwarantujące nam nie tylko to, co niegdyś obiecały sobie narody, ale w każdym punkcie przypominające nam o sferach naszych wolności – zarówno tej pozytywnej, jak i negatywnej, bez której trudno wyobrazić sobie obraz świata i nas samych, naszych praw, ale i wzajemnych obowiązków. O tych filarach naszego wspólnego europejskiego domu warto pamiętać, szczególnie dziś, gdy wybierając się do urn wyborczych, mamy potwierdzić swoje uczestnictwo we Wspólnocie, a tym samym wziąć za nią odpowiedzialność.



SEN O EUROPIE

6 • **UCZĄC SIĘ OD SIEBIE NAWZAJEM...**
Z Michałem Bonim rozmawia Magdalena M. Baran

24 • **NIEFERENDUM**
Piotr Beniuszys

36 • **ZAGROŻENIA INFORMACYJNE W KONTEKŚCIE WYBORÓW DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO** Adam Lelonek, Michał Marek

46 • **EUROPA POLITYCZNA I POLITYCZNE SPOŁECZEŃSTWO – POTRZEBUJEMY DEMOKRATYCZNIE WYBIERANEGO PREZYDENTA EUROPY** Błażej Lenkowski

52 • **GRZEBIĄC W FUNDAMENTACH (NA BIS)**
Magdalena M. Baran

SŁOWNIK LIBERAŁA

60 • **ORDOLIBERALIZM - WOLNOŚĆ NA STABILNYCH FUNDAMENTACH**
Piotr Beniuszys

ILE LIBERALIZMU W KAPITALIZMIE?

68 • **KAPITULACJA**
Tomasz Kasprówicz

START-UP

74 • **TOO GOOD TO BE TRUE?**
Z Martyną Sztabą rozmawia Agnieszka Koziańska

ZIELONY LIBERALIZM

78 • **WSZYSTKO ZOSTAJE W TYLE – SZYBKĄ KOLEJĄ PRZEZ PEJZAŻ ANTROPOCENU**
Dawid Juraszek

LEKTURY LIBERAŁA

86 • **LEWICA SZUKA SOJUSZNIKÓW**
Sławomir Drelich

WIERSZ WOLNY

92 • **KUPNY NARÓD**
Maciej Melecki

UCZĄC SIĘ OD SIEBIE NAWZAJEM...

Z MICHAŁEM BONIM ROZMAWIA
MAGDALENA M. BARAN

Magdalena M Baran: 15 lat temu Polska, wraz z innymi krajami regionu, wstępowała do Unii Europejskiej. W ogrodach wiedeńskiego Schönbrunn filharmonicy zagrali wówczas niezwykły koncert, podczas którego wykonywali muzykę pochodzącą ze wszystkich nowoprzyjętych do Unii krajów. Koncert ten stanowił muzyczną opowieść o naszych tożsamościach, indywidualnościach, ale wskazywał na wartości, jakie dzielimy, a które stanowią podstawę istnienia wspólnoty. Tymczasem dziś coraz częściej dają się słyszeć głosy, że właśnie z owymi wartościami mamy w Unii problem. Z jednej strony myśląc o nich wielu odnosi się wprost do art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej, gdzie jednym tchem wymieniamy godność, wolność, demokrację, równość, praworządność, prawa człowieka, by już po chwili dodać do nich kwestie związane z solidarnością i społeczeństwem obywatelskim. To myślenia, które stanowi przecież wspólny fundament. Jednak, kiedy patrzymy dzisiaj na Unię to dostrzegamy coraz silniejszy populizm coraz bardziej powszechny resentyment, coraz mocniejsze napięcia... a coraz mniej myślenia o wartościach właśnie. Coraz częściej mówi się, że o wartościach, tych podstawowych, trzeba dzisiaj w Unii przypominać, albo mocniej, że wręcz trzeba ich bronić. Czy rzeczywiście tak jest? Prze-

cież każdy z krajów wstępujących do Unii powierzył je kiedyś Wspólnocie, każdy ma je w swojej konstytucji...

Michał Boni: To jest trudne pytanie, bo ono zakładałoby, że sytuacja, w której jesteśmy – z czym się pełni zgadzam – oznacza, że podważane są wartości europejskie, ośmieszane, manipuluje się ich rozumieniem. Tu używa się języka emocjonalnej nienawiści, nazywając różne zestawy wartości „lewackimi wyobrażeniami”, czyli – fachowo mówiąc – się je stereotypizuje i stygmatyzuje. Można zadać pytanie „Z czego to się bierze”? Najprostsza odpowiedź „To się bierze z głupoty”, a druga, że „Z niewiedzy”. Trzecia moim zdaniem jest taka, że bierze się z przekonania jakiejś części społeczeństw europejskich, że one żyją wokół innych wartości niż wartości, które dotąd uznawaliśmy za oczywiste we wspólnocie europejskiej, wpisując je do Traktatu, do Karty Praw Podstawowych, do różnego rodzaju działań, a nawet do kryteriów kopenhaskich, które trzeba wypełnić, aby wejść do Unii Europejskiej. Nagle okazało się, że jakiejś części społeczeństw, jakiejś kraje, jakichś przywódcy uważają, że trzeba stanąć na kontrze. Teraz definiujemy tę kontrę najpierw, tak? Żeby dokładnie zrozumieć, dlaczego tych wartości trzeba bronić.

Pytanie skąd ta kontra, skoro same wartości są wspólne, a często są podzielane nie tylko ze względu na podpisanie akcesyjnego, ale również obecne (niekwestionowane) na poziomie aktów prawnych

poszczególnych państw. Popatrzymy na naszą Konstytucję, te wartości tam są. To nie jest nic, co byłoby nam obce. Przynajmniej w teorii, albo – jak kto woli – w sferze idei.

Trzeba pamiętać, że sfera wartości jest sferą interpretacji. To nie jest, że tak powiem, część żelaznego katalogu. Nam się często wydaje, że to powinien być katalog żelazny, ale się okazuje, że wartości mogą być interpretowane. Kiedy mówimy o godności to nam się wydaje, że podstawą godności jest szacunek dla wielowymiarowej podmiotowości

Po pierwsze, to co mówi Victor Orban, czyli wartości chrześcijańskie, ale w jego interpretacji, skrajnie ograniczone. Promujące bycie chrześcijaninem, a nie otwartość chrześcijanina na świat. Promujące bycie chrześcijaninem zamkniętym. W wersji chrześcijaństwa, jaką Orban proponuje, nie ma miejsca na nic kolorowego, nie ma miejsca na LGBT, tak naprawdę nie ma miejsca na muzułmanów i nie ma miejsca na jakąkolwiek obcość, która nie pasuje do tego wzorca kulturowego związanego z taką bardzo wąską tradycją i dziedzictwem chrześcijańskim, nazwę to białym chrześcijaństwem.

Jeśli ktoś nie jest otwarty na cierpienie i biedę drugiego człowieka, to nie jest chrześcijańskim demokratą. Jeśli ktoś nie jest otwarty na uchodźcę, uciekającego przed śmiercią, zagrożeniem życia, głodem... nie jest chrześcijańskim demokratą

człowieka. Czyli też swobody w różnych jego wyborach, jego zachowań, orientacji, od seksualnych począwszy, jego zdeterminowane orientacje, jak myślimy o wzorcu kulturowym, który go wychował, czy jak myślimy o kolorze skóry i tak dalej. Ale zarazem sfera wartości była też sferą wyboru i obrony. Mam takie wrażenie, że ci, którzy atakują wartości europejskie, mają gdzieś w tyle głowy przekonanie, że inne wartości powinny kierować dzisiejszym rozwojem Europy oraz, że to nie powinno być oparte na wyborze indywidualnym, tylko przymusie zbiorowym.

Z pewnego punktu widzenia można powiedzieć, że to jest takie chrześcijaństwo, które jakby nigdy nie doświadczyło oświeceniowego dotknięcia. Tu leży problem. Było takie przemówienie Donalda Tuska na kongresie w Helsinkach. Wcześniej przemawiał Orban, mówiąc o tym, że jeśli Europa chce się uratować, musi uratować swoją tożsamość, a jeśli chce uratować swoją tożsamość, to musi skupić się na odnowieniu tożsamości chrześcijańskiej tak jak ona jest rozumiana, czyli Bóg, Kościół i zamknięty świat. Tak to można zdefiniować. Tusk mówił, adresując swoje słowa do Orbana, że jeśli ktoś nie jest otwarty



na cierpienie i biedę drugiego człowieka, to nie jest chrześcijańskim demokratą. Jeśli ktoś nie jest otwarty na uchodźcę, uciekającego przed śmiercią, zagrożeniem życia, głodem... nie jest chrześcijańskim demokratą. Mówił, że jeśli ktoś nie jest otwarty na tego, kto przychodzi po pomoc, bo jest źle traktowany ze względu na swoją odmienność, to nie jest chrześcijańskim demokratą. Powtarzał, że jeśli ktoś jest dyskryminowany i ta dyskryminacja staje się publiczna, gdy władze dyskryminują jakieś osoby, to nie jest to postawa chrześcijańska. W tej wykładni pokazuje się coś, co moim zdaniem, z punktu widzenia analizy populizmu europejskiego jest niesłychanie istotne. To ukryty spór o chrześcijaństwo. Ukryty albo jawny. Wątek chrześcijański w Europie

jest wyjątkowo istotny, ale jest i drugi wymiar tej negatywnej postawy wobec wartości.

To jest podobne akurat w populizmie amerykańskim, jak i populizmie europejskim, to jest swoisty antyelitaryzm. Populizm amerykański ma oczywiście inne korzenie i odmienne barwy. Tam istotnym elementem jest poczucie degradacji wynikające z braku uczestnictwa w korzyściach, globalizacji, to dotyczy klasy średniej. Tam również jest poczucie wyeliminowania białego mężczyzny z mainstreamu rozwojowego definiowanego jako szeroki mainstream rozwojowy wszystkich, których różnorodność buduje ten prawdziwy amerykański sen, ale zarazem buduje synergię pomiędzy odmiennościami,

a ta z kolei przynosi efekt w postaci kreatywności. U nas pojawia się niechęć do struktur, które wykreowały jakieś pozycje instytucjonalne, wraz ze wzorcem myślenia i ludzi, którzy żyją na pierwszej linii promując wartości.

Można usłyszeć, że ci z tych złych elit brukselskich, to są brukselscy biurokraci, „lewaccy liderzy” co zatracili narodową tożsamość i żyją w takim konie tego wszystkiego, co kosmopolityczne. Jeśli na to tak spojrzemy, to rodzi się pytanie „To które partie są tak widoczne”? Dobrym przykładem są tu Włochy, które bunt Pięciu Gwiazd i Ligii Północnej zbudowały na antyelitaryzmie. Przeciw tym, którzy do tej pory rządzą – „Oni są złem, my jesteśmy lepsi”. Udało się, co stanowi paradoks, w tym antyelitaryzmie, połączyć grupy polityczne, które nie mają za sobą nic wspólnego. Bo w wyborach Liga Północna mówiła „Płaski podatek”, a na południu Pięć Gwiazd mówiło „Basic income”, to znaczy płaca powszechna, dla każdego. Przez pierwsze miesiące wielu komentatorom wydawało się, że się nie porozumieją przez takie różnice, ale się porozumieli, to znaczy, że antyelitaryzm okazał się silniejszy.

Innymi słowy zwyciężył, ale przecież miał na to szanse dlatego, że nie powstał z niczego, nie trafił w próżnię, ale odnosił się do konkretnych potrzeb danej wspólnoty.

Cechą tego antyelitaryzmu jest to, że nie istnieje on, jeśli nie ma odpowiedniego klimatu

społecznego. To znaczy, żeby zbudować postawę antyelitarystyczną, negującą dotychczasowe wartości w imię tradycyjnych wartości chrześcijańskich, po pierwsze muszą istnieć przesłanki budowania wspólnoty wartości: z mojego punktu widzenia negatywne, ale z ich punktu widzenia pozytywne. To jest jeszcze jedno rozróżnienie, że my w swoim rozwoju, myśleniu o różnorodności, otwartości, tolerancji i tak dalej, mówimy o „społeczeństwach”, o wspólnocie społecznej z jej otwartym charakterem, a oni mówią o „wspólnocie etnicznej” bardziej, nawet nie używając określenia, że jest to wspólnota quasi-religijna, bo taka ona jest - i zamykająca.

Tym samym jest to wspólnota już od początku zamknięta, „ekskluzywna”, mocno podkreślająca własną odrębność lub wyjątkowość, a jednocześnie bardzo niechętna wszystkiemu, co wobec niej zewnątrz.

To jest wspólnota, która innych wyklucza, która dzieje się przez doświadczenie, inicjuje się i spaja przez niechęć i nienawiść do wrogów. W demokracji liberalnej mamy różnice i odmienności i szukamy sposobów by szukać w nich rozwiązania. Tymczasem w demokracji nieliberalnej mamy wrogów, zajmujemy się sobą, odcinamy innych, polaryzujemy społeczeństwo, nie chcemy mieć z nimi, innymi nic wspólnego. Żeby to się udało, potrzebny jest ostatni czynnik – silny przywódca. Ten silny przywódca jest katalizatorem uzmysłowienia tej części społeczeństwa, która jest zagubiona, nie ma poczucia tożsamości, lęka się – a potrzebuje bezpieczeństwa – jest katalizatorem uświadamiania, jakie zagrożenia są.

Wystarczy wspomnieć przemówienie Jarosława Kaczyńskiego o uchodźcach ze Szwecji, którzy przyjadą i przywiozą tu wszy. Klasyka. W sensie języka, to klasyka hitlerowska. Nie ma czego tu ukrywać. Zadziało wtedy? Zadziało.

Jest jeszcze coś takiego, co się rozgrywa, mianowicie taki zakład faustowski. To znaczy ten lider, przywódca, ten któremu oddajemy naszą wolność mówi: „Albo będziecie mieli bezpieczeństwo, bez wolności, bo ta wolność nie jest taka ważna. Albo będziecie mówili o wolności, ale nie będziecie mieli bezpieczeństwa”. To jest jeszcze jeden element w tym zarysowywaniu, charakteryzowaniu tego co jest: kwestia wolności i bezpieczeństwa – tego co jest kluczowe i czym się manipuluje w dzisiejszym świecie. I na koniec dochodzimy już do klasycznego modelu ucieczki od wolności.

Tak, tylko gdy ją odzyskaliśmy to szybko okazała się darem niewygodnym, by nie rzec nieszczęsnym. Józef Tischner słusznie diagnozował, że po odzyskaniu wolności szybko zaczęliśmy szukać kogoś w czyje można ją oddać ręce, bo tak bardzo nam ciążyła. Jednych zatrzażała, ale dla innych okazała się łakomym kąskiem. Nasz problem polega chyba na tym, że my tę wolność powierzaliśmy w ręce często przypadkowe. Z tą wolnością było jak z przrzucaniem gorącego ziemniaka z ręki do ręki, bo parzy i... może lepiej się go pozbyć.

Wolność jest trudna! Wolność wymaga odpowiedzialności, zrozumienia, otwartości, cierpliwości.

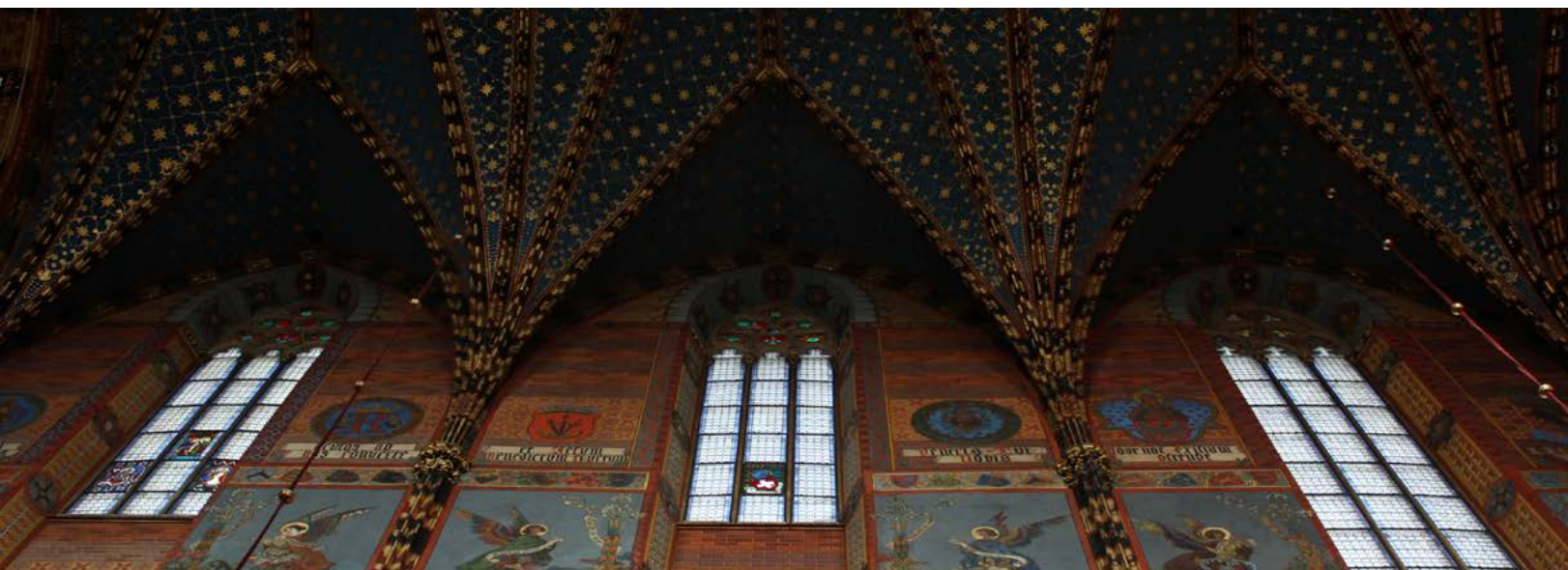
A przy tym wymaga współistnienia tych wszystkich wartości zawierających się w katalogu, o którym na początku rozmawialiśmy, ale ona wcale się nie kłóci z tymi podstawowymi wartościami chrześcijańskimi, jeśli akurat do nich chcielibyśmy się odnieść.

Istota chrześcijaństwa na tym polega.

Dokładnie, a równocześnie mamy nieodrobioną lekcję z oświecenia. Węgrzy nie przeszli, myśmy też nie przeszli przez oświecenie, w wymiarze, w jakim przeszła Francja. Może ten moment, kiedy u nas nie dokonało się oczyszczenie rozumem, w jakimś sensie zakodował nam inne rozumienie wartości.

Myśmy stracili państwo... W tym momencie to nie mogło się zdarzyć.

W to „puste miejsce” po państwie niejako wszedł Kościół, a za nim wyimaginowana armia weszły (za chwilę legiony). Tym samym odniesienie do wartości „ustawiło się” u nas inaczej niż w Europie zachodniej. Rozumu zabrakło, bo idee narodowe rosły na ideach chrześcijańskich. Doszło do mariażu, który trwa po trosze w wygodzie czy przyzwyczajenia, ale rozwieść się nie może. Jednak to nie jedyna lekcja,



której nie odrobiliśmy. Polacy nie przeszli nigdy lekcji Jana Pawła II, a wystarczy sięgnąć do kolejnych encyklik, które są adresowane do „Wszystkich ludzi dobrej woli”, to znaczy nie tylko do chrześcijan. Jest tam mowa o konieczności szacunku dla każdego człowieka. Gdy czytam te teksty ze studentami pytają: „To co się stało? Gdzie pobłądziliśmy”? Czemu mamy chrześcijaństwo bez rozumu, które pozwala na wykluczenie? A jeśli tak, to w europejskiej perspektywie niknie nam umiejętność uczenia się od siebie nawzajem. Co zatem robić? Jak rozwiązać ten problem, gdzie szukać, kiedy kolejne wspólnoty „betonują się” na własnych pozycjach, kiedy wyłaniają się ruchy anty-elitystyczne, anty-mainstreamowe, populizmy. Jak

na to odpowiadać z takiej rozsądnej perspektywy zbudowanej na wartościach?

Myślę, że dziedzictwo Jana Pawła II jest dwojakie. Jest to wszystko czego nie umieliśmy do końca przyswoić, co chyba niesie ze sobą każdy pontyfikat. Są takie kierunki, wskazówki, gotowość rozumienia współczesnego świata, czego największym przykładem był Sobór Watykański II, pewien ruch odnowy, jaki wtedy funkcjonował, a później próba jego kontynuacji. Ona była widoczna w tych encyklikach Pawła VI i Jana Pawła II i Benedykta. Pytanie polega na tym: Czy z tego wyłaniała się całościowa odpowiedź na pytania współczesnego świata? Sobór, starał się uchwycić moment zmian społecznych, gospodarczych, kulturowych. By dać Kościołowi możliwość zrozumienia, co znaczy wiernym i przewodnikom, czyli hierarchii i świeckim. Po Soborze, po latach 60', po tym co działo się w latach 70', 80',

a już na pewno w ostatnim dwudziestolecu, zmiany radykalnie przyspieszyły. Mówiąc krótko, pojawiły się starcia na linii: narodowe tożsamości i globalizacja albo godność człowieka a wszechogarniająca technologia. Kościół nie ma na to odpowiedzi. W wielu wypadkach nie zadaje takich pytań. Jest skupiony na takim PR, który podtrzymuje jego siłę i znaczenie. Niekiedy – jak w przypadku Franciszka – usiłuje podjąć niezwykle trudne rzeczy, z którymi chce się zmierzyć, jeśli chce w oczach świata i zmieniających się społeczeństwach odzyskać wiarygodność. Myślę, że Kościół nie odgrywa już takiej roli w świecie jak odgrywał. Są kościoły, które to rozumieją. Po okresie uchodźczym, a przed wyborami

presję na władzę, co ma otrzymać i jaką pozycję ma mieć. W tym sensie Kościół w Polsce przestał być Kościołem, a zaczął być elementem, aktorem gry politycznej. Mówi, że to robi w imię wartości, walcząc o liberalizację zachowań obyczajowych, podważając osiągnięcia współczesnej nauki. Nie oszukujmy się, atak na *in vitro* jest podważeniem osiągnięcia współczesnej nauki. Nijak nie można wyjaśnić, czemu w imię chrześcijaństwa nie można tego robić. Przez lata Kościół miał problemy z rozumieniem nauki, ale później zmieniał zdanie. Przecież w końcu zwyciężył model kopernikański, okazało się, że Galileusz miał rację. Tak samo jest z *in vitro*. Za jakieś 50 lat Kościół może mówić, że to metoda

Silny przywódca jest katalizatorem uzmysłowienia tej części społeczeństwa, która jest zagubiona, nie ma poczucia tożsamości, lęka się – a potrzebuje bezpieczeństwa – jest katalizatorem uświadamiania, jakie zagrożenia są

landowymi w Niemczech, chadecki rząd bawarski uznał, że trzeba we wszystkich instytucjach publicznych powiesić krzyże. Tamtejszy kościół katolicki protestował mówiąc, że to jest absurdalne, że przyniesie zupełnie przeciwny skutek. W Polsce, Kościół wszedł na ścieżkę, nie tyle myślenia o budowaniu Kościoła powszechnego, otwartego na ludzi, tylko o władzy. Znaczący Kościoła, który daje zadania do wykonania i sprawdza, czy zostały one wykonane. Kościoła, który umawia się z władzą, albo wywiera

ratowania ludzi. Słynny spór tego, czy ratując przed groźbami różnych chorób, w tym AIDS w Afryce przez dbanie o to by używano prezerwatyw... traktowanie tego jako grzech, jest, że tak powiem, wynaturzeniem ludzkiego umysłu.

Moglibyśmy zatem spokojnie uznać, że nauka to nic innego, jak realizacja boskiego nakazu „czynienia sobie ziemi poddanej”. Poszerzenie granic własnego

świata, używanie rozumu, praca, ale – jak powiedzieliby niektórzy – zgodnie z pierwotnym zamysłem.

No niezupełnie, poznanie naukowe jest bezkresne – przynajmniej w założeniu, a to kłóci się z doktryną Kościoła. Chyba, żeby Kościół był inny, otwarty na nowe, ale to by oznaczało, że kościół powinien wrócić do istoty samego siebie, do swojej zagubionej dziś otwartości. Mój problem polega na tym, że Kościół, przynajmniej polski, coraz bardziej oddala się od rzeczywistości tak bardzo, że nie ma moż-

Ja się modłę, ale dzisiaj jest „Instytucja Kościoła”. Ja modłę się w różnych miejscach, różnych sytuacjach, to jest coś, co mnie koncentruje, ale i dodaje mi siły. To jest mój indywidualny wybór. Nie widzę powodu, by się tego wstydzić, ale to moje, a nie instytucjonalnego Kościoła.

Nieraz pytano mnie „Dlaczego u Pana Ministra nie ma krzyża?”. U mnie od początku lat 90’ była zawsze jakaś Marylin Monroe. Nie dlatego, że uważam ją za boginię, która jest przeciw Bogu,

Fundamentem państwa jest prawo, a nie religia czy Kościół, jakkolwiek

liwości powrotu. Tym bardziej, że ludzie oddalają się już od Kościoła. Czym jest dzisiaj w potocznym przekonaniu Kościół? Jest miejscem, do którego można iść się pomodlić. Czy jest jeszcze wspólnotą wiernych...

Dla niektórych jest miejscem modlitwy, dla innych działem sztuki, dla jeszcze kolejnych miejscem, niekoniecznie w wymiarze religijnym, gdzie szuka się ciszy i spokoju, gdzie „łapie się” dystans. Może być też przestrzenią sprawowania rytuału. Możliwości jest wiele.

Jednak jak jest po drodze pusty kościół, a chcę się pomodlić, to wejdę się pomodlić, ale zakładając, że Bóg jest wszędzie, to równie dobrze mogę modlić się w lesie. No i moja predyspozycja indywidualna.

jakim jest Chrystus, ale uważam, że znak religijny w miejscu politycznym nie powinien funkcjonować, bo ludzie mają różne poglądy i to powinno być neutralne. Fundamentem państwa jest prawo, a nie religia czy Kościół, jakkolwiek.

Tymczasem Marylin, to nie jest znak żadnej religijności, tylko mojego upodobania. Myślę, że potrzebna jest dyskusja o ocaleniu Kościoła. Formułuję to nie jako dyskusję o ocaleniu społeczeństwa w imię wartości chrześcijańskich, ale jako dyskusję o ocaleniu Kościoła w imię wartości chrześcijańskich. Nie wiem, kiedy się ona zacznie, myślę, że kiedyś się zacznie, myślę, że Polska taka pozostanie, nie zlaicyzuje się w super skrajny sposób, co nie zmienia faktu, że będą części społeczeństwa, które będą patrzyły na wszystko inaczej. Jednak

nie powiedziałbym, że jeśli będą zachodziły takie procesy, to będziemy mieli pewność, że z natury tego procesu historycznego wyłonią się: laicyzacja, większa otwartość ludzi, zmiany obyczajowe nowego typu. Trudno też myśleć, że szybko zmieni się wzorzec quasi-religijnej wspólnoty potrzebującej bezpieczeństwa i wodza, który prowadzi i daje bezpieczeństwo. Na to nakładają się jeszcze cechy niezwiązane z Kościołem i religią, ale z pewną bezradnością w rozumieniu świata, bo ludzie mają jeszcze taką bezradność w rozumieniu świata. Taki Kościół pusty, ornamentacyjny, niewysłuchiwane nauczanie Jana Pawła, ale też niewysłuchiwane ewangelia każdej niedzieli, wpływa na to, że nie ma rozumienia świata niemal w żadnych kategoriach. My się ocieramy naskórkowo o świat i nam się zdaje, że to jest rozumienie świata, ale my go nie mamy. Bo może my w większości staliśmy się gawiedzią!!!

Jak zatem, w sytuacji braku rozumienia współczesnego świata i tych podziałach, które się między nami budują, uczyć się od siebie nawzajem? I dalej, czego dzisiaj w tej Europie uczyć się od siebie nawzajem.

Mimo tych trudnych procesów antyelitarnych, budowania zamkniętych quasi-religijnych wspólnot, jest dostatecznie dużo sił, by budować zachowania obywatelskie i to rozkwita! Sądzę, że obywatelstwo jest tym, co buduje mnie w mojej roli, wobec państwa, prawa, reguł życia społecznego, porządku,

ale buduje także moją rolę odpowiedzialną w relacji do drugiego człowieka. Bo relacje z drugim człowiekiem mogą mieć *stricte* ludzki wymiar, tak? Kocham kogoś, przyjaźnię się z kimś, czuję do niego miłość, namiętność, przyjaźń. Ale z drugiej strony wypełniamy wobec siebie określone role. Więc wypełniamy je w obojętny sposób, albo w sposób świadomy. Społeczeństwo obywatelskie, w moim przekonaniu, jest to społeczeństwo, gdzie ludzie rozumieją swoje role w relacjach z innymi ludźmi, wiedzą, że ja jestem obywatelem w relacji do drugiego obywatela.

Nie jestem zatem samotną wyspą.

Moim zdaniem ocalenie jest, także w duchu wartości chrześcijańskich, jeśli je już przywoływać, w najlepszym odniesieniu do braterstwa, tak bym powiedział, chociaż to oświeceniowe powiedzenie.

Możemy powiedzieć „w duchu solidarności”, w sensie trzymajmy się jeden drugiego i to jest budowanie społeczeństwa obywatelskiego, bo tak zawiązuje się relacja/wzajemność. Takie rozumienie wydaje się nam chyba bliższe, a przynajmniej bardziej zrozumiałe.

To też wymaga warunków do praktykowania bycia obywatelem i tu jest kolejny problem.

Obywatelstwo praktykujemy najlepiej w kryzysach. Taką sytuację wygenerował strajk nauczycieli, bo nagle iluś rodziców musiało się skrzyknąć do opieki

nad dziećmi. I nagle dostrzegli, że istnieje między nimi relacja. Pierwszy raz, od kiedy ich dzieci chodzą razem do szkoły zobaczyli, że coś ich łączy, a jak coś zrobią wspólnie, to nikt nie zostanie sam z problemem.

Wychodzę z założenia, że od trzech lat, „zasługą” Jarosława Kaczyńskiego jest to, że wygenerował wielkie przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego. To jest jego „zasługa”, dlatego, że zabrał bezstronność mediów, zniszczył Trybunał Konstytucyjny, zniszczył zasadę niezależności i sprawiedliwości, która żyje w systemie sądowym, że podważył

społeczeństwa obywatelskiego był nastawiony na to, że można było zrobić wiele rzeczy samemu, z innymi, dla bardzo konkretnych celów. Pomocy charytatywnej, wsparcia edukacji, pomoc chorym, dziesiątki rzeczy, bardzo ważnych. Ta fala przebudzenia obywatelskiego, jaką mamy dzisiaj jest jasno nakierowana na wartości obywatelskie, na obywatela praktykującego demokrację, czyli rozumne uprawianie demokracji jako udział w procesach decyzyjnych. Obywatel kopnięty przez policjanta, protestujący, ma poczucie, że jest uprzedmiotowiony, że nieszanowane są jego prawa, ma bolesne poczucie, że policjant jako reprezentant władzy

Przecież w końcu zwyciężył model kopernikański, okazało się, że Galileusz miał rację. Tak samo jest z in vitro. Za jakieś 50 lat Kościół może mówić, że to metoda ratowania ludzi

reguły Sądu Najwyższego, tym samym podważył prawa obywatelskie, bo my jako obywatele mamy prawo do bezstronnej informacji, ale mamy też prawo do tego, żeby żyć w strukturze niezależnego sądownictwa.

W tym sensie to jest wielkie przebudzenie.

Społeczeństwo obywatelskie budziło się po 89' roku, po Okrągłym Stole, ale nie tylko. W maju 89r przyjmowano ustawę o stowarzyszeniach, które dawały te różne wolności. Tam ten zryw budowania

nigdy nie chciałby go jako obywatela jako partnera w procesie podejmowania decyzji. Dlatego oni robią wszystko, żeby zabić społeczeństwo obywatelskie, bo to jest wizja silnego państwa, bo silne państwo nie potrzebuje obywateli, a silnych struktur i silnych służb różnego rodzaju i quasi-religijnej wspólnoty, która to będzie utrzymywała, błogostawiła, dawała symboliczne uzasadnienie.

Przychodzi na myśl to straszne i uwłaczające nam, jako wspólnocie, stwierdzenie Jacka Kurskiego, że „ciemny lud wszystko



DR MICHAŁ BONI

Polityk i kulturoznawca. W 1990 i w latach 1992–1993 podsekretarz stanu w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej, w 1991 minister pracy i polityki socjalnej, w latach 2008–2009 sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w latach 2009–2011 minister-członek Rady Ministrów i przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów, w latach 2011–2013 minister administracji i cyfryzacji. Poseł na Sejm I kadencji, od 2014 deputowany do Parlamentu Europejskiego VIII kadencji.

kupi”. Strasznie mi się to nie podoba, ale, co może jeszcze straszniejsze, przy pewnym poziomie ogłupienia zdaje się „działać”...

Nie używam tego określenia, bo z jednej strony mam dużo współczucia, ale to też złe określenie... Mam zrozumienie dla tej części społeczeństwa, co potrzebuje tej wspólnoty quasi-religijnej, staram się nawet „gawieź” rozumieć, bo skądś się bierze, jakieś ma kompleksy, problemy, frustracje. To trzeba zrozumieć, choć nie można usprawiedliwiać, jak „gawieź” zaczyna niszczyć innych dookoła.

Ale ja mówię o całości, nie tylko o tej wspólnocie religijnej.

Dlatego mówię o quasi-religijnej, bo oni nie muszą wierzyć, oni wierzą jakby w religijny sposób, dlatego mówię o „gawiedzi”. Elementem zbudowania tej quasi-religijnej wspólnoty przez obóz Kaczyńskiego było stworzenie mitu smoleńskiego. Mit smoleński nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem, jest, że tak powiem, cywilnym mitem ukonstytuowanym na potrzeby takiej wspólnoty, która mówi „To nasi zmarli”, „To tragedia”. To niemal szekspirowskie. Rządzący kreują to jako mit jednolity. Po naszej stronie nie ma dostatecznie silnego przekazu, żeby powiedzieć „jest inne rozumienie smoleńska”.

Wszystko się rozmyło i zostało zablokowane przez kolejne elementy konsekwentnie

budowanej narracji, do której niejako doklejane są kolejne, niekoniecznie już „smoleńskie” elementy.

Ale to był istotny element budowania narracji tej quasi-wspólnoty w sensie politycznym.

Czyli mamy mit założycielski.

Tak, zgadza się. Drugi element, o którym chciałem

taki element, który ich buduje. A trzeci element to poczucie, że to jacyś „oni” zrobili tę transformację, a nie „my”.

Nie „my”, nie jest nasza. Znowu poczucie wykluczenia.

A „my” jesteśmy gdzie? Skąd my jesteśmy? Ostatnio patrzę na młodych. Słuchałem płyty Dawida

Przeniesiona została przestrzeń greckiej, otwartej agory na takie fanpage rozmawiające ze sobą, często z anonimowymi uczestnikami

powiedzieć, to jest to, że ten mit założycielski adresuje przekaz do tzw. subiektywnie pokrzywdzonych (bo tak to naprawdę odczuwają) transformacją. Transformacja nie miała takiej skali traumy jak się mówi, ale trauma jest elementem subiektywnym, z czym ciężko się dyskutuje. Jeśli ma się wpisane już, że rodzice coś stracili, że dzieci coś straciły, że była wielka inflacja i ogromna ilość ludzi, która miała oszczędności, wszystko straciła. I że ludzie mówią, że była prywatyzacja i stracili miejsca pracy. Ludzie nie stracili miejsc pracy przez prywatyzację, ale stracili miejsca pracy przez nieefektywność poprzedniej gospodarki. Prywatyzacja miała przywrócić tę efektywność, miejsca pracy często wróciły, czy zostały utrzymane, także w pakietach reprivatyzacyjnych, w paktach, porozumieniach, by ludzie utrzymywali pracę i tak dalej. Jest ileś mitologii, ale ta trauma jest, to doświadczenie pozostaje obecne. To jest

Podsiadło „Małomiasteczkowy”, to sądzę, że jest tam prawda o Polsce, o takiej potrzebie zakorzenienia się lokalnego, że ja jestem z małego miasteczka, to jest moja ulica, to jest miejsce mojego zakorzenienia. Tu dochodzimy do kolejnej rzeczy. Jak chcemy definiować tych czujących się gorzej, to mówiąc krótko, dla ludzi z umownych elit - zakorzeniem była solidarność i transformacja. Dla pozostałych zostało puste pole. Część solidarnościowców się odkorzeniła od solidarności, bo myśmy ją naturalnie mieli w poczuciu tożsamości. Pamiętam wieloletnie dyskusje, czy wprowadzić jakiś dodatek, bo jeśli ktoś był w „Solidarności” to wszystko jednak było udokumentowane, jakiś dodatek do emerytury, czy inne rzeczy. Było tak w okresie międzywojennym dla legionistów. Ale jak dochodziło to na samą górę, to spotykało się z myśleniem, że „Pomyślą, że robimy to dla samych siebie, bo myśmy też tam byli”, a to

najgłupsze myślenie z możliwych. I ludzie zostali bez takiej symbolicznej i praktycznej gratyfikacji.

Bo zrobiłoby się to naprawdę dla tych tysięcy pojedynczych ludzi, którzy mieli poczucie, że zostali sami, zostali opuszczeni, zapomniani, czy wreszcie – przyczynek do resentymentu – pominięci i skrzywdzeni.

No i na koniec zaczęła rodzić się ta potrzeba tożsamości, nowej tożsamości. My po naszej stronie, w naszej formacji politycznej, mówiliśmy, że Europa, że infrastruktura, że nie będziemy ludziom zagospodarowywali w głowach. A wcześniej jeszcze przed mitem smoleńskim, powstawał pierwszy mit założycielski formacji PiS: mit Muzeum Powstania Warszawskiego. Niestychanie ważne rzeczy, za-budowanie świadomości ludzkiej. Ludzie potrzebują zabudowania wyobraźni. A te mity zabudowały wyobraźnię.

Gdyby one ją zabudowały, to jeszcze nie byłoby tak źle. Ale one ją w iluś przypadkach zabetonowały.

Wzorzec powszechny, ten mainstream jest zupełnie inny, co nie oznacza, że my nie powinniśmy przykładać wysiłków do budowania wspólnej pamięci

No tak, jak ją zabudowują w otwarty sposób, to jest to dziedzictwo historyczne. Ale „zabetonowanie” oznacza, że jak się wychodzi z dziećmi z Muzeum

Powstania Warszawskiego i się zada pytanie „Kto wygrał?”, to one odpowiedzą „Polacy”. Bo taka jest konstrukcja przekazu, podświadoma. To jest ten element. Cały spór o Muzeum II Wojny Światowej, brał się z tego. Bo to Muzeum pokazywało prawdę, też o okropieństwach wojny - a według mitologii, to my jesteśmy bez skazy. Taki romantyczny model bycia bez skazy. Za tym stoi jakaś ludzka, społeczna potrzeba, pewna socjokulturowa czy psychokulturowa przyczyna.

Te mitologie, to tworzenie nowej wspólnoty - miało służyć podzieleniu nas jako Polaków, przesunąć normę, którą ukształtowało doświadczenie udanej transformacji, wejścia do NATO i do Unii Europejskiej. I podzieliło, spolaryzowało skrajnie, szczególnie już po 2015 roku w wielu przedsięwzięciach i poprzez wiele rządowych przedsięwzięć.

I to jest problem na przyszłość. Nie możemy jako społeczeństwo, jako naród, żyć w skrajnym podzieleniu, w skrajnej polaryzacji. Jedni drugich powinni kiedyś zacząć rozumieć. Powinni zacząć wysyłać

do siebie jakieś sygnały, siadać na brzegach małych wysp i rozmawiać ze sobą. Mówię o kapitale społecznym. Jeśli tego nie będzie, zapętlimy się



w wojnę domową. Wojna domowa nigdy nie budowała narodów. Naród podzielony nie zbuduje swojej przyszłości. A jest dostatecznie dużo trudnych wyzwań świata, aby się skupić na myśleniu o budowaniu wspólnej przyszłości.

Mamy moment traumy transformacji, mamy ludzi, którzy zostali opuszczeni, mamy mity założycielskie... Zastanawiam się, jak w ich kontekście myśleć o pamięci przeszłości. Na ile jesteśmy w stanie myśleć o wspólnej pamięci europejskiej, jeśli na własnym podwórku mamy tak wiele problemów nie do przeskoczenia. Zarówno w kontekście lokalnym, jak i w relacjach z sąsiadami mamy jeszcze nieprzepracowaną pamięć przeszłości.

Kiedy pracujemy nad tym co Michael Walzer nazywa „lepszym stanem pokoju”, to patrzmy przede wszystkim na możliwości istniejące niejako poza klasyczną teorią „sprawiedliwego powojnia”. Jeśli tak, to do świata, do społeczności po traumie, po wojnie, po konflikcie, po takim wydarzeniu jakim był Smoleńsk, powinno wejść budowanie wspólnej narracji historycznej i wspólnej pamięci historycznej. Tymczasem my wciąż nie mamy się czego uchwycić, jest jakaś luka. Czego nam brakuje?

Nam brakuje wyrazistego, silnego przywództwa i wspólnej pamięci, lepiej powiedzieć - dziedzictwa. Roztrwoniliśmy dziedzictwo „Solidarności”. Ze względu na spory, które się toczyły na początku lat 90', ale nie tylko wtedy, także ze względu na

zajadłość Jarosława Kaczyńskiego i jego obozu do Lecha Wałęsy i Tadeusza Mazowieckiego, i Bronisława Geremka, i Jacka Kuronia. To byli przywódcy, LIDERZY!!!!

Ale brakuje nam tylko przywódców, czy raczej autorytetów?

Przywódców, ze znamieniem autorytetów. Ale po drugie – brakuje nam autorytetów, bo albo autorytety umarli, bo byli w poprzednim pokoleniu, a aktualne pokolenie żyje wedle innych zasad i mamy taką sytuację wypierania autorytetów przez celebrytów. A dziś się mówi, jak się patrzy na Sieć, że celebryci, tacy youtuberzy, więc celebryci chwilowi, że oni mają rząd dusz. Ileś mówimy o ludziach, którzy nie chcą przedstawiać swoich poglądów, uczestniczyć w otwartej debacie demokratycznej. To ja myślę, że oni nie chcą robić tego na otwartej scenie. Ale wrócą do domu, siądą przed komputerem, laptopem, czymkolwiek, wtedy wejdą w przestrzeń publiczną, pozbawieni imienia, nazwiska. Anonimowo. Bo jest taka możliwość w sieci, nie ma identyfikacji. Wchodzą wtedy w wojny ideologiczne, w spory, hejty. Przeniesiona została przestrzeń greckiej, otwartej agory na takie fanpage rozmawiające ze sobą, często z anonimowymi uczestnikami. To zabija świat autorytetów i realnego przywództwa. Mamy fikcję internetową zamiast otwartej przestrzeni publicznej debaty.

Agory faktycznej nam brakuje, a cała reszta wydaje się być powiązana z obowiązującą dziś tymczasowością wszystkiego.

Tak, to wyraźne jest - powiązanie z tymczasowością i chwilowością. Jak mówię o polityce w tym świecie, to mówię, że mamy do czynienia nie z czymś, co się kiedyś nazywało EVIDENCE BASED POLICIES. Mamy dziś do czynienia z czymś, co mogę nazwać polityką hashtagową. Chcę coś osiągnąć, biorę hashtag, piszę „#WielkiWybór”, jak Koalicja Europejska zrobiła na swojej konwencji. A później badamy zasięgi. Jakbym wybrał inną nazwę, nie hashtagował, to nie byłoby tego zebrania się jakiejś publiczności wokół tego hashtagu, czy sloganu, czy hasła... A tak zbiera się wokół tego hashtagu 9 milionów ludzi. Ta polityka też łączy, ale nie daje wszystkich argumentów do końca i gubi głębię spraw. Zresztą, następnego dnia już inne rzeczy są ważne.

Gdy zaś idzie o problem tego, jak łączyć czy budować dziedzictwo - łącząc pamięci, to trzeba zadać sobie pytanie, czy świat internetowy, w którym żyjemy w ogóle buduje pamięć w naszych umysłach. Nie musimy niczego wiedzieć i pamiętać, nawet rozumieć, bo pozornie i tak mamy dostęp do wszystkiego. Jestem w stanie za chwilę sprawdzić, ile żon miał Henryk Pobożny, czy Kazimierz Wielki.

Wydawać by się mogło, że taki świat ma pamięć na zasadzie historii wyszukiwań

No tak, to jest na tej zasadzie, a nie na zasadzie rozumienia. Nie znaczy, że wszyscy niczego już nie rozumiemy. Zakładam, że niektórzy rozumieją, ale tego jest za mało w sensie skali zjawiska. Wzorzec powszechny, ten mainstream jest zupełnie inny,

co nie oznacza, że my nie powinniśmy przykładać wysiłków do budowania wspólnej pamięci. Problem polega na tym, by wykorzystać wszystkie możliwe kanały: edukację, media, Internet, nowy typ muzeów, nowy sposób pisania książek. Jest taka książka „Władcy Polski”, to takie rozmowy z historykami, którzy opowiadają o różnych królach. To jest rozmowa. To jest inny wykład historii, niż gdy pisał coś równie fantastycznego, ale zupełnie inaczej, bo bardziej akademicko prof. Henryk Samsonowicz. To nie jest tak, że my w tej sieci nie możemy zbudować sposobów, które będą dawały nam i wiedzę i identyfikację, jakąś pamięć. Problem z pamięcią polega tylko na tym, że my budując pamięć budujemy ją jako tradycję, która uwzględnia wszystko, czyli nie dokonujemy selekcji.

W teorii, o której mówię, my budujemy bez selekcji, uwzględniając różne opowieści i narracje. Tylko tak nie wrócimy do status quo ante. W pewnym momencie, po konflikcie, po traumie nie możemy powrócić do tego co było, bo tam są ziarna zła, które się wydarzyło. Tych naszych konfliktów i podziałów

Ale żeby do tego wrócić, musimy to przepracować.

Jasne. Pytanie jak? Poszliśmy w tę hashtagową politykę, nasze autorytety faktycznie odeszły, umarli. Równocześnie buduje nam się antyelitaryzm. Jeden z moich rozmówców powiedział mi nie-

dawno, niemal przeprosającym tonem, „użyję brzydkiego słowa, bo my kiedyś jako elita...”. Pytam go czemu uważa, że to słowo jest takie brzydkie i straszne... Elita jest tym, bez czego nie ma rozwoju społeczeństwa, nie ma wzorców, nie ma tych, którzy pokazywaliby społeczeństwu nie tyle wyższość, ale przez swój przykład dokładnie i te wartości i te narracje. To co w nas było piękne. Co potrafiliśmy. Coś, co może jeszcze jest.

Jest. Bo to jest tak, patrząc na różne dziedziny.

Widać, że ludzie potrzebują wyłaniać z siebie takich, którzy skupiają w sobie różne cechy, by traktować ich jak elity, nie po to, by się wynosili, ale by wokół nich rozwijało się jakieś życie, myślenie krytyczne, patrzyenie, ciekawość intelektualna. Myślę, że jak patrzymy na społeczeństwo, jak byśmy dotarli do mniejszych zwojów społecznych, to tych różnych form elit, grup elitarnych, wzajemnie sobie pomagających, chodzących razem jest bardzo dużo, może więcej niż kiedyś. Takie zastrzyki, pozytywne iniekcje, one jakoś następują. Nie mam obawy, że umrzemy jako społeczeństwo. Rozwijamy się...

Problem polega na tym, że w normalnych relacjach jest tak, że część społeczeństwa nie ufa elitom, chce kontrolować elity, nie zawsze się zgadza, i buduje te antyelitarne postawy. To w jakimś sensie jest w porządku, bo może być twórcze w paradoksalny



sposób. Ale z drugiej strony społeczeństwo potrzebuje norm, wytwarza je, posługuje się nimi, jest mu z nimi łatwiej.

Moja teza jest taka: poziom polskiego antysemityzmu i różnych zachowań negatywnych 15 czy 20 lat temu był taki sam, tylko część postaw była skrywana, bo norma była inaczej sformułowana, ustawiona. Teraz jest pytanie, kto te normy tworzy. W opisie znaczenia roli tworzenia tej normy nie da się niestety pominąć świata polityki. To nie tylko media. Gdyby Kaczyński nie mówił o uchodźcach takim językiem, jak mówił: o tym, że przyjdą i zarażą innych - ileś problemów mentalnych Polaków by

nie ujawniło się w tak chorobliwy sposób, jak on to wygenerował, otwierając złe pokłady w ludziach. To politycy przesuwają te granice. To politycy nazywając grupę „drugim sortem”, dają uprawnienie drugiej grupie, by mówić „To są gnoje, którzy się nachapali”. To politycy mówią: „Ci którzy podnoszą rękę na najjaśniejszą Rzeczpospolitą są zdrajcami”. A dlaczego podnoszą? Bo walczą o wartości i praworządność tak, jak one są respektowane w Unii. I to nie jest żadna zdrada tylko obowiązek moralny i odpowiedzialność. ●

Opracował Marcin Łubiński



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą (Liberté! 2018)* oraz *Oblicza wojny (Arbitror 2018)*. Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Liberté!*

NIEFERENDUM

PIOTR BENIUSZYS

Wielu zwolenników demokracji z zadziwiającym optymizmem twierdziło, że referenda staną się mechanizmem powstrzymania ekstremistów i populistów, gdyż stosując je klasa polityczna, traktowana jak wyalienowana elita, odda prawo decyzji obywatelom i tak zada kłam niosącemu populistów hasłu o własnej głuchocie na oczekiwania tzw. zwykłego człowieka.

Zyjemy w czasach odwracających się ról. Siły polityczne, które nigdy nie pały szczerym uczuciem do demokracji, zachwycone procesami przemiany opinii publicznej, dziś aspirują do tego, aby stanąć na (zbrojnej nawet) straży demokratycznych reguł. Im więcej obywateli odwraca się od kruszejącego konsensusu liberalno-demokratycznego, tym większy prodemokratyczny zapach ekstremistów, do niedawna fantazjujących o autorytarnych przewrotach w celu „pochwycenia władzy”. Zapomniano już czasy, gdy to Kennedy i Reagan wołali do Chruszczowa i Breżniewa o wolność i demokrację dla nieszczęsnych mieszkańców wschodniego „bloku”. Dziś to Putin, jego media, jego boty i jego sympatycy w poszczególnych krajach Europy, grożą wskazującym palcem Macronowi, Merkel i „tradycyjnym” mediom, z ponurą miną konstatając gwałt liberalnych Europejczyków na woli ludu. Tak mozolnie zbudowany przez pokolenia centrystów różnych odcieni – chadeckiego, socjaldemokratycznego, staro-konserwatywnego czy liberalnego – nimb świętości i nietykalności zasad demokracji staje się oto sprawnym narzędziem wytrącającym retoryczny i praktyczny oręż z ręki tym, którzy chcą zachować istotę i ducha demokratycznego rządu. Pokazani jako ciemniżyciele woli ludu przez dawnych antydemokratów, a dziś realizatorów projektu ukrycia realnej dyktatury w skorupie formalnego demokratyzmu, przegrywają oni walkę o przyszłość.

Nic bardziej demokratycznego

Z tej aury immunitetu przed krytyką w największym stopniu korzysta referendum. Podczas, gdy wszelkie wybory pozostają obciążone złożonymi dywagacjami o demokratyczną zasadność szczegółowych regulacji konkretnych ordynacji wyborczych, referendum wydaje się esencją demokracji. W końcu, czy można wyobrazić sobie coś bardziej demokratycznego aniżeli decyzję podjętą bezpośrednio przez obywateli-suwerena w powszechnym głosowaniu – „tak” albo „nie” – po którym opcja wybrana przez arytmetyczną większość zostaje obowiązkowo wdrożona prawnie i wcielona w życie przez struktury polityczne? W czasach, gdy przyzwoitym człowiekiem może być tylko kryształowy demokrat, odrzucenie tak powziętego werdyktu jest moralnie nie do pomyślenia. Nic więc dziwnego, że zarówno dyskurs akademicki, publicystyczny, jak i zwykły polityczny od wielu dekad traktował referendum niczym najukochańsze dobro, najcenniejszy klejnot w skarbcu życia publicznego. Nawet jeśli zakulisowo usiłowano blokować rozpisanie konkretnych referendów (antycypując klęskę swoich celów), to nigdy nie czyniono tego przy użyciu argumentu o nieadekwatności samego referendum jako modelu.

Wielu zwolenników demokracji z zadziwiającym optymizmem twierdziło, że referenda staną się mechanizmem powstrzymania ekstremistów

i populistów, gdyż stosując je klasa polityczna, traktowana jak wyalienowana elita, odda prawo decyzji obywatelom i tak zada kłam niosącemu populistów hasła o własnej głuchocie na oczekiwania tzw. zwykłego człowieka. Tymczasem z punktu widzenia ekstremistów (w globalnym pakiecie swoich budzących postrach i odrazę postulatów nadal niewybieralnych, a zatem bez szans na przejęcie władzy) referenda okazały się doskonałym narzędziem punktowej realizacji programowej agendy. I to bez konieczności

przez szacunek wobec woli obywateli, ale w celu utrzymania jedności partii rządzącej przed wyborami i zachowania stołka przez premiera. Umiejscowione bezrozumnie na początku procesu, gdy nikt nie był w stanie przewidzieć kształtu umowy „rozwodowej”, a więc nikt nie wiedział, czym *de facto* jest brexit, nad którym właśnie głosuje. Bez racjonalnego podziału na dwa głosowania, z których pierwsze dawałoby rządowi mandat do zgłoszenia zamiaru wyjścia i rozpoczęcia negocjacji, a drugie określałoby stosunek obywateli do

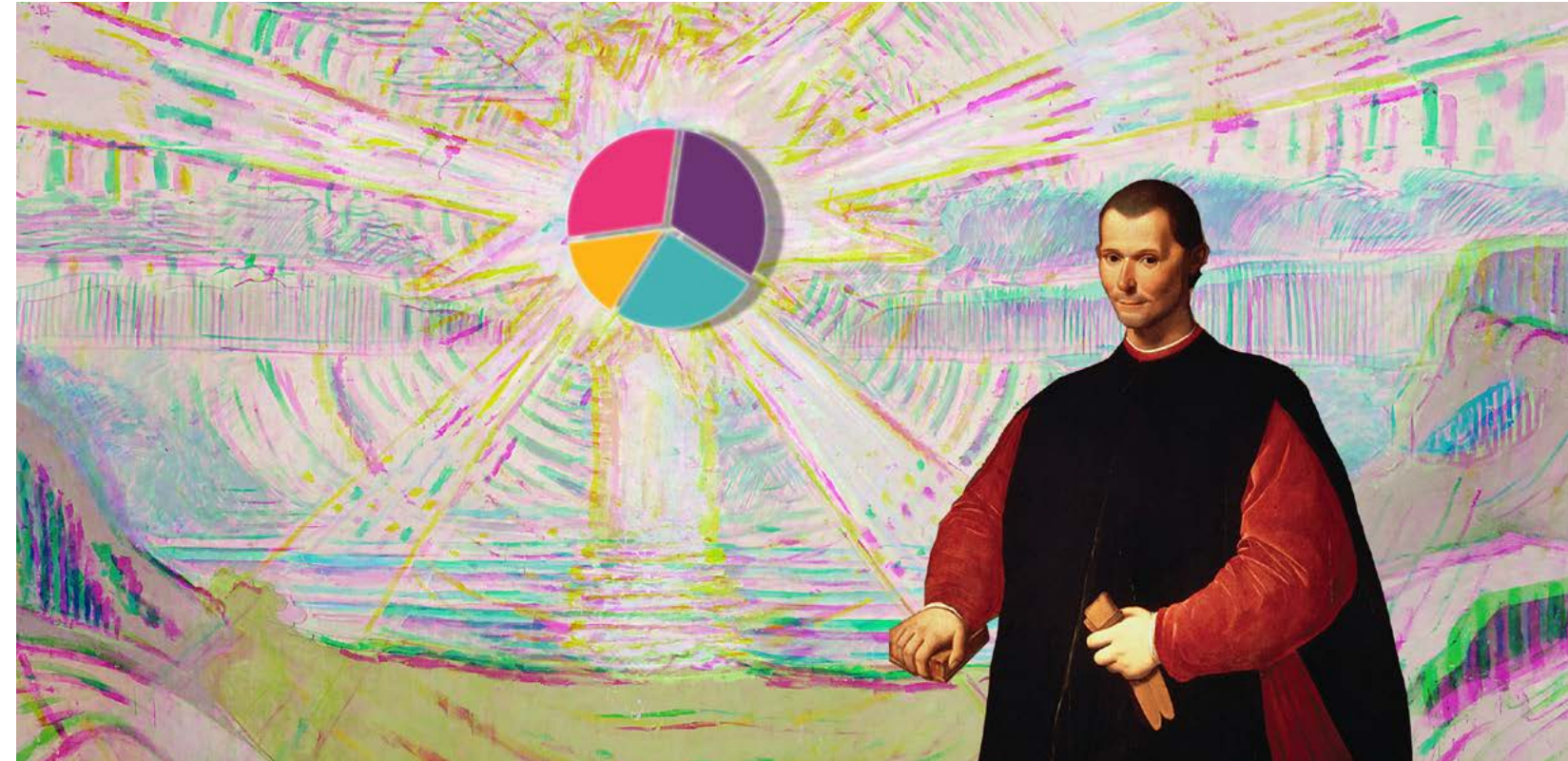
W czasach, gdy przyzwoitym człowiekiem może być tylko kryształowy demokrat, odrzucenie tak powziętego werdyktu jest moralnie nie do pomyślenia

brania odpowiedzialności za zarządzanie systemami państwa, o braniu odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki nawet nie wspominając. Tak oto referendum dotyczące brexitu obarczyło jego przeciwników, Theresę May i Michela Barniera, monstrualnym zadaniem wieloletnich negocjacji oraz toczenia skrajnie wyczerpującej walki politycznej o osiągnięcie celu, którego jako politycy nie pożąдали, podczas, gdy entuzjasta brexitu Nigel Farage z piwką w ręku udał się na polityczny urlop przerywany tylko co kilka dni w celu napisania paru tweetów.

Referendum w sprawie brexitu stało się jednak pewnym punktem zwrotnym. Przeprowadzone nie

tego, co owe negocjacje realnie przyniosły i czy ich rezultat jest do przyjęcia. Niejasne, nieprzewidywalne, nieczytelne, spłaszczone i strywializowane. Dla politycznego show, nie dla racjonalnej decyzji w oparciu o namysł.

W efekcie demokratycznie podjęta decyzja, już kilka godzin po ogłoszeniu wyniku, okazała się być w znacznej mierze produktem fałszu, z premedytacją podanego w kampanii głosującym. Kilka lat później jak na dłoni widać ponadto, że była decyzją bezbrzeżnie głupią, która cała, uświęcony wieloletnią tradycją, system polityczny Wielkiej Brytanii wpędziła w kryzys stawiający pod znakiem zapytania jego trwanie. Pod



jej wpływem nawet ekstremiści z innych państw Europy, wcześniej za centralny punkt programu stawiający własne frexity, holexity, austrexity czy czechoxity, nagle w popłochu deklarują wolę pozostania w Unii Europejskiej i „reformowania jej od wewnątrz”. Liderka francuskiej skrajnej prawicy, Marine Le Pen, komentuje dziś, że decyzja Brytyjczyków była może i głupia, ale ponieważ jest demokratyczna, to musi zostać zrealizowana. To dokładnie ten sposób myślenia, który – abstrahując od światopoglądu – nie może zostać tak po prostu zaakceptowany. Rażąco głupie decyzje wybranych polityków można rewidować, są

dymisje lub sankcja kolejnych wyborów. Z głupoty polityków dworujemy sobie (bardzo słusznie!) codziennie. W kontekście referendum czas przyjrzeć się jednak zjawisku głupoty obywateli i przestać udawać, że w demokracji wyborca jest jak klient ekskluzywnej restauracji, który ma zawsze rację. Jesteśmy tylko ludźmi i jesteśmy omylni, a wraz z przemianami środowiska informacyjnego coraz łatwiej jest nami manipulować. Wielbiąc bożka demokracji i odmawiając przyjęcia tych faktów do wiadomości, tylko ułatwiamy zadanie naganiancom prowadzącym nas, jak barany, wiadomo gdzie.

Po prostu za mało

Podstawowy problem z referendum polega na tym, że głosującym zwykle po prostu brakuje wystarczającej wiedzy o problemie, który jest przedmiotem wyboru. Co więcej, niewielu z nich poczuwa się w obowiązku, aby przed oddaniem głosu pogłębić swoją wiedzę. Nie dość wielu, wątpiąc lub będąc świadomymi własnej niewiedzy, rezygnuje z udziału w głosowaniu. Rzeczywistość tę skrzętnie wykorzystują podmioty aktywnie uczestniczące w polityce, aby zamiast wiedzy dostarczać zwyczajnej propagandy politycznej, która bazuje na przeinaczeniach, niedomówieniach i przemilczeniach, a zawsze stroni od rzetelności

i obiektywizmu. W efekcie, wyborca często żyje w przeświadczeniu, że wystarczającą wiedzę posiada, gdyż zaczerpnął ją ze źródeł, którym ufa w zwyczajnym, codziennym procesie konsumpcji informacji politycznej. W tej ostatniej sytuacji nie mamy więc do czynienia z problemem wyborcy aroganckiego i nieodpowiedzialnego, który postanawia głosować pomimo świadomości własnej ignorancji, ale z wyborcą celowo wprowadzonym w błąd. Nie idzie tu zatem o wadę demokracji, którą akcentował już Benjamin Constant, mówiąc, że głupcy zawsze mają większość. Mamy do czynienia z poddaniem w wątpliwość czy werdykt referendum nadal zachowuje

demokratyczny charakter. Jeśli bowiem w proces decyzji wkrada się manipulacja na skalę masową, którą stała się możliwa w dobie Internetu, botów, fake newsów czy profilingu wyborców, to wynik nie jest wyrazem „woli ludu”, a rezultatem rywalizacji układu antagonistycznych manipulatorów o efektywność i skuteczność. A także naturalnie zwykłym starciem ich fundatorów, w którym zwykle wygrywają większe pieniądze (warto dodać, że niesłychany wpływ na wynik referendum uzyskują ponadto celebryci, wśród których we współczesnych czasach wręcz roi się od przekupnych głupców).

Ilustracją tego dylematu jest następujące ćwiczenie. Jeśliby stworzyć heurystyczny model tej samej społeczności, która odizolowana od sfałszowanych sygnałów w referendum wydałaby inny

Oczywiście można podnieść kontrargument, że dokładnie ten sam problem dotyczy zwyczajnych wyborów. Jednak wynik wyborów prezydenckich czy parlamentarnych jest odwoływalny po 2-5 latach, w zależności od przyjętych norm prawnych. O referendum zaś mawia się, że ich werdykty powinny być ostateczne „w tym pokoleniu”. Różnie z tym oczywiście bywa (zjawisko powtarzania referendum, tzw. „neverendums”, jest szeroko znane), ale jeśli przyjąć to, jako założenie zasadności zastąpienia zwykłej decyzji parlamentarnej w ramach demokracji przedstawicielskiej aktem referendum, wówczas natychmiast stajemy się świadomi, że gra toczy się o dużo wyższą stawkę.

Gdy wyborcy głosując w referendum opierają się tylko na strzępach informacji i politycznych emocjach, to kontrola nad rezultatem znajduje się nie

W kontekście referendum czas przyrzeć się jednak zjawisku głupoty obywateli i przestać udawać, że w demokracji wyborca jest jak klient ekskluzywnej restauracji, który ma zawsze rację

werdykt, aniżeli padł realnie, to w którym miejscu zachodzi „wola ludu”? Odpowiedź nie jest łatwa, wcale niekoniecznie w tym sterylnym układzie. W końcu obywatele mają prawo angażować się i prowadzić kampanie wpływania na innych obywateli przy pomocy legalnych, acz etycznie wątpliwych środków. Gdzie zatem jest prawdziwa „wola ludu”?

w ich rękach, a w rękach politycznych elit, które w dodatku selekcionują tematy na referendalne i nireferendalne, decydują o terminie głosowania i precyzyjnej treści pytania. Problemy postawione w referendum zostają wyjęte poza zwyczajne procedowanie legislacyjne. Podczas, gdy wyniki procedur demokracji reprezentatywnej są zazwyczaj przewidywalne, werdykty referendum są podatne



na nagłe wahnięcia, wrażliwe na atmosferę chwili oraz na wpływ zjawisk zupełnie niezwiązanych z tematem referendum (nawet na pogodę). Raz po raz obserwuje się zjawisko głosowania przeciwko zaproponowanemu projektowi nie ze względu na jego zasadność, a z powodu sympatii i antypatii żywionych przez głosujących wobec, słusznie czy niesłusznie, wiązanych z projektem figur politycznych. Wyborcy często głosują więc w oparciu o przesłanki pozostające poza tematem referendum. Przykładowo negatywna ocena polityki oświatowej czy zdrowotnej rządu może spowodować odrzucenie propozycji zmiany ordynacji wyborczej czy zgłoszenia kandydatury kraju do roli gospodarza mistrzostw świata

Dalszym problemem o charakterze percepcyjnym jest także naturalny dla każdego człowieka nawyk, aby zgłoszone propozycje i projekty oceniać na bazie własnych przeszłych doświadczeń. Warto zauważyć, że to wyzwanie staje przed każdym głosującym, nawet takim, który w oparciu o zasób wiedzy podejmuje rzetelny wysiłek oceny referendalnego wyboru. Decyzje referendalne charakteryzują się jednak zorientowaniem na przyszłość, niekiedy dalekosiężną. Dlatego oparcie ich na doświadczeniach utkanych w realiach czasów minionych nie jest optymalną metodą wyważania racji. Wyzwanie to potęguje dodatkowo rosnący poziom złożoności i skomplikowania, jakim w zglobalizowanym świecie XXI wieku

Politycy o autorytarnych skłonnościach lubują się w poszukiwaniu referendalnego mandatu dla zaplanowanych już przez siebie nadużyć i naruszeń państwa prawa

w piłce nożnej. Wyjęcie pojedynczego, nawet bardzo ważnego, problemu poza kontekst ogólnego toku zdarzeń życia politycznego, okazuje się całkowicie niemożliwe. Także uniezależnienie jego oceny od ogólnego światopoglądu wyborcy, celem uzyskania pragmatycznej postawy, jest niewykonalne. Wynik referendum przestaje dotyczyć konkretnego, zadanego pytania, a uznanie tego wyniku za werdykt społeczny nad tematem referendum przeistacza się w aberrację.

cechują się problemy społeczno-ekonomiczne i polityczne. Argument wysuwany onegdaj przez Friedricha von Hayeka przeciwko planowaniu gospodarczemu (pojedyncza osoba lub zespół planistów nie są w stanie posiadać wystarczającej wiedzy, aby optymalnie sterować procesami gospodarczymi, gdyż rynek wiedzę radykalnie rozprasza) we współczesnym świecie w coraz większym stopniu dotyka domeny polityki.

Obopólna nieodpowiedzialność

Poczucie utraty kontroli nad tokiem zdarzeń w najcięższy sposób dotyka polityczne elity, jako warstwę przywykłą do sprawowania kontroli. Eksperci, politycy i naukowcy często nie są w stanie wskazać żadnych rozwiązań, tylko operują w ramach tzw. prowizorki. W tym tkwi kolejny, niezdrowy impuls, aby rozpisywać referenda i formalnie oddawać w ręce obywateli zadanie podejmowania decyzji trudnych, pociągających za sobą niemożliwe do przewidzenia, czasami bardzo niekorzystne konsekwencje. Elity używają referendów, a przy ich pomocy również obywateli, jako narzędzia zrzucania z siebie odpowiedzialności za takie decyzje, a w przypadku późniejszych kryzysów mają możliwość przywołania tego bezpośredniego mandatu i oddalenia od siebie ewentualnych win. Po to Viktor Orban pytał Węgrów o ich zdanie w sprawie przyjmowania uchodźców. Również politycy o autorytarnych skłonnościach lubują się w poszukiwaniu referendalnego mandatu dla zaplanowanych już przez siebie nadużyć i naruszeń państwa prawa. W ten sposób cały sens reprezentacji politycznej i demokracji parlamentarnej ulega zanegowaniu. Politycy, jak wszyscy, chcą cieszyć się tylko jasnymi stronami swojego powołania – prestiżem, posadami, władzą, wpływami i *dolce vita*. W przypadku chwil gorzkich rozglądają się za sposobami na ucieczkę przed ryzykiem i odpowiedzialnością. Onegdaj takim sposobem była dymisja. Referenda dają jednak możliwość politycznego przetrwania na kolejny sezon. Przy okazji dalszego uszczerbku doznaje

zarówno ideał służby publicznej i odpowiedzialności za sprawy wspólne, jak i poszanowanie dla figury eksperta, dla jego wykształcenia, powagi i kompetencji. Nie może liczyć na szacunek ktoś, kto dezerteruje z pełnienia służby, do której został powołany w wyborach. Takimi słowami uciekanie się do referendum komentowała Margaret Thatcher.

Referendum zaburza zatem logikę funkcjonowania demokracji parlamentarnej opartej na zasadzie politycznej reprezentacji z wolnym mandatem. Wbrew pozorom najmniej szkodliwe jest w tym kontekście wiążące referendum nad przegłosowaną już przez parlament ustawą, której precyzyjny tekst jest już ustalony co do przecinka, a tylko jej wejście w życie zostało uzależnione od werdyktu obywateli. Wówczas referendum albo powoduje wejście w życie doskonale znanego aktu prawnego wraz z jego skutkami, albo go blokuje i wrzuca do kosza. Najgorsze są referenda konsultatywne i niewiążące, które politycy chcą odbywać przed rozpoczęciem procedowania w parlamencie. Wówczas wyborcy nie mają faktycznie wpływu na sytuację prawną, ale politycy z radością wykorzystają ich werdykt (w tym także wysokość frekwencji) jako „wskazanie kierunkowe” do toczenia partyjnych bojów i pchania problemu w zasadzie dowolnym kierunku, pod warunkiem wprawienia w ruch odpowiedniego spinu. Takie referenda (dotyczy to zarówno brytyjskiego brexitu, jak i polskiego referendum o jednomandatowych okręgach wyborczych z 2015 roku) są ordynarnym zmanipulowaniem głosujących.



Pozbawiają proces polityczny elementarnej powagi i porządku, stanowią narzędzie wymuszania rozwiązań, których nie popiera większość wybranych demokratycznie posłów, kastrują więc parlament, najważniejszą instytucję demokracji. Ludziom zaś pokazują, że ich głos w referendum może nic nie znaczyć, bo politycy robią, co chcą, na dodatek uwalniając się od odpowiedzialności.

Jątrzenie i podziały

Referenda często są dodatkowo szkodliwe dla debaty publicznej i wolności jednostki w demokratycznym państwie. Zupełnie złudną nadzieją jest zażegnywanie gorących, ideologicznych sporów, angażujących najważniejsze wartości moralne, religię i światopoglądy, poprzez referendum. Politycy uwielbiają umywać ręce od decyzji w sprawach aborcji, praw LGBT, kary śmierci czy użytkowania miękkich narkotyków. Dlatego raz po raz padają propozycje, aby te sprawy poddawano głosowaniu w referendach. Takie referendum zakończy gorący konflikt społeczny tylko wówczas, gdy przy znacznej frekwencji jedna ze stron odniesie przytłaczające zwycięstwo. Lecz przy takim rozkładzie poglądów nie ma powodów, aby referendum w ogóle organizować. Raczej robi się je przy wyrównanych siłach. Jednak rezultat 51:49 gwarantuje wybuch konfliktu ze zdwojoną siłą, ponieważ strona przegrana wyniku tego nie zaakceptuje, a pojawienie się rozstrzygnięcia zmobilizuje jej stronników do występowania w takiej kwestii ze zdwojoną agresją. W ten sposób burzy się pokój społeczny, zamiast go wzmocnić.

Inaczej aniżeli w przypadku wyborów, mniejszość w referendum przegrywa wszystko. System parlamentarny daje mniejszości, czyli opozycji, szereg praw i możliwości oddziaływania na dalszy tok zdarzeń. Nie tylko można niebawem wygrać kolejne wybory. Można inicjować debaty, zgłaszać projekty, kontrolować większość, wywierać presję. Gra się toczy. Istnieje, przynajmniej teoretycznie, pole do zawarcia kompromisu. Referendum zamyka zaś debatę, przegrani zostają z niczym, poza frustracją, złością i poczuciem braku reprezentacji mimo dysponowania demokracją i dużą siłą, np. 49%. W przypadku referendum mamy więc do czynienia ze zjawiskiem z arsenału Rousseauwskiej demokracji plebiscytarnej, gdzie większość sprawuje rządy nieograniczone, co jest nie do pogodzenia z ideałem liberalnej demokracji i rządów większości ograniczonych prawami mniejszości. To właśnie dlatego referenda były w przeszłości pieśczołkami wielu tyranów i dyktatorów, jak Napoleon III, Adolf Hitler czy Benito Mussolini. Dodatkowym czynnikiem pogłębiających stan społecznej nerwicy będą oczywiście sondaże. W przypadku nieznacznej wygranej jednej z opcji późniejsze sondaże pokazujące konsekwentnie, że szala przechyliła się na drugą stronę i wynik referendum byłby już inny, stanowią poważne źródło niepokoju i zadawania całkiem zasadnego pytania, dlaczego kluczowa ma być wola ludu z marca, a zupełnie bez znaczenia jest ta z lipca, października lub grudnia? Większości są płynne, a wybory odbywane w regularnych odstępach czasu dają temu wyraz poprzez zmianę partii

rzządzających. Referenda siłą rzeczy nie gwarantują odzwierciedlenia zmieniających się poglądów obywateli w czasie. Niekiedy decyduje przypadkowy, pojedynczy rezultat, łut szczęścia związany z terminem plebiscytu.

Referenda i kampanie przedreferendalne doskonale wpisują się w scenariusz spadku jakości debaty publicznej. Zorientowane na efektywność

należy rozumieć zdeterminowanych zwolenników obu ścierających się poglądów i opcji wyboru. Ludzie o jaskrawo wyrazistych poglądach są silniej obecni w przestrzeni publicznej kosztem komentatorów, skłonnych deliberować nad tematem głosowania w sposób bardziej merytoryczny, ale mniej widowiskowy. W efekcie referenda zwiększają siłę polityczną zarówno partii i polityków „jednego tematu” (*single-issue*), jak

Tylko poprawnie funkcjonująca demokracja reprezentatywna może pogodzić zachowanie tych praw z odpowiedzialnym i bezpiecznym zarządzaniem sprawami państwa

arytmetyczną, pobudzają emocje i uruchamiają manipulacje faktami. W im większym stopniu zastępują debatę parlamentarną, z jej rozwlekłością, wieloetapowością, proceduralizmem i orientacją na deliberację, tym większe szkody poczynione zostają kulturze debaty publicznej. Ta uwaga pozostaje jeszcze w mocy w przypadku większości demokratycznych państw, aczkolwiek oczywiście zjawisko upadku debaty także parlamentarnej jest niezaprzeczalne i być może wkrótce akurat na tym polu zapanuje swoista równowaga na bardzo kiepskim poziomie.

W debatach przed referendum, co nie pozostaje bez wpływu na wyniki, uprzywilejowaną pozycję mają radykałowie, przez co w tym przypadku

i silnie emocjonalnie zaangażowanych obywateli, których niesie np. gniew na drugą stronę sporu (*Wutbürger*). Takie starcie nie służy ani debacie publicznej, ani pokojowi społecznemu. Ale przede wszystkim powoduje zwiększenie polaryzacji umiarkowanie wcześniej nastawionych słuchaczy i widzów lub ich wycofanie się z procesu referendalnego. Ostatecznie przy urnie w dniu referendum radykałowie stawiają się w komplecie, podczas, gdy umiarkowani w wielu przypadkach wybierają absencję. Deliberacja na ten sam temat w parlamencie oznaczałaby większy wpływ ludzi umiarkowanych, a więc najczęściej reprezentujących tzw. środek społeczeństwa, na rezultat, oczywiście dzięki liczebnej przewadze wybranych przez nich postów. Niekiedy radykałów po

jednej ze stron jest po prostu więcej niż po drugiej, choć to ta druga dysponuje większą liczbą umiarkowanych zwolenników. Wówczas referendum zaburza, zamiast klarować proces badania „woli ludu”.

Samokrytyka wyborców

W demokracji obywatele są suwerenem i w głosowaniu wybierają swoje władze. Ten fundament nie może zostać naruszony bez pogrzebania demokracji. Jednak tylko poprawnie funkcjonująca demokracja reprezentatywna może pogodzić zachowanie tych praw z odpowiedzialnym i bezpiecznym zarządzaniem sprawami państwa. W żadnym społeczeństwie, nigdy w historii nie było tak, że większość społeczną stanowiły osoby zdolne to zapewnić. Zbyt mocno ludźmi targają nieumiarkowanie, niecierpliwość, arbitralność, egoizm, złość, niewiedza i niedojrzałość. Dlatego spoglądając na obecną sytuację polityczną demokratycznego świata i jego infrastrukturę, przede wszystkim w zakresie technologii informacyjnej, trzeba stwierdzić, że potrzebujemy być może nie więcej, a mniej demokracji.

Więcej potrzeba nam również samokrytyki. Wyborca nie jest świętą krową. Jest człowiekiem i podlega krytyce. Napiętnowanie polityków, ludzi nauki, mediów czy biznesu jest politycznie poprawne. Tymczasem piętnowanie wyborców jest wielkim tabu demokratycznego świata. Wystrzegają się tego politycy, którzy dawno porzucili ambicję, aby przewodzić i wolą wodzić wyborcę za nos kłaniając się i uśmiechając do niego w tym samym czasie. Ale wystrzegają się także media, liderzy opinii, naukowcy. Dlaczego? Trudne i bolesne prawdy trzeba formułować, jeśli coś ma się zmienić. Trzeba stawać w obronie wartości i pryncypiów, niezależnie od intelektualnej mody. Gdyby większość miała zawsze rację, to nigdy nie narodziłby się podziw dla nonkonformizmu, a przecież pełno go w literaturze, filmie i sztuce. Wreszcie, może trzeba napiętnować wyborcę i powiedzieć mu, że czasem po prostu to on jest winien.

Chyba że wolicie go zapytać w referendum, czy jest. ●



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w *Liberté!*. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

ZAGROŻENIA INFORMACYJNE W KONTEKŚCIE WYBORÓW DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

ADAM LEŁONEK I MICHAŁ MAREK

Identyfikacja podmiotów odpowiedzialnych za prowadzenie wrogich działań to jedno z największych wyzwań zarówno w sferze bezpieczeństwa informacyjnego, jak i cyberbezpieczeństwa. Nie ma tu łatwych recept i dróg na skróty – pewne procesy śledcze oraz analityczne wymagają czasu. Z kolei media czy politycy krajowi wykorzystują daną sytuację dla własnych celów, często upraszczając złożone problemy, a nierzadko też wskazując winnych bez dowodów.

Po wyborach prezydenckich w USA z 2016 roku zmieniła się percepcja współczesnych zagrożeń informacyjnych. Po raz pierwszy bowiem społeczeństwa na całym świecie miały okazję dowiedzieć się jak może wyglądać zewnętrzne oddziaływanie na procesy demokratyczne w praktyce. Od tego czasu mieliśmy do czynienia z szeregiem kolejnych wrogich działań wymierzonych w państwa zachodnie, takich, jak cyberataki, operacje informacyjne i psychologiczne, wspieranie ugrupowań eurosceptycznych i antysystemowych, ale i inne, z wykorzystaniem służb specjalnych. Tego rodzaju aktywności wciąż ewoluują i dostosowywane są do reakcji Zachodu. Niestety miliony osób wciąż nie rozumieją, że wojna informacyjna nie ogranicza się do produkcji tzw. fake newsów czy aktywności botów w mediach społecznościowych, a cyberprzestrzeń i przestrzeń informacyjna są ze sobą nierozzerwalnie związane.

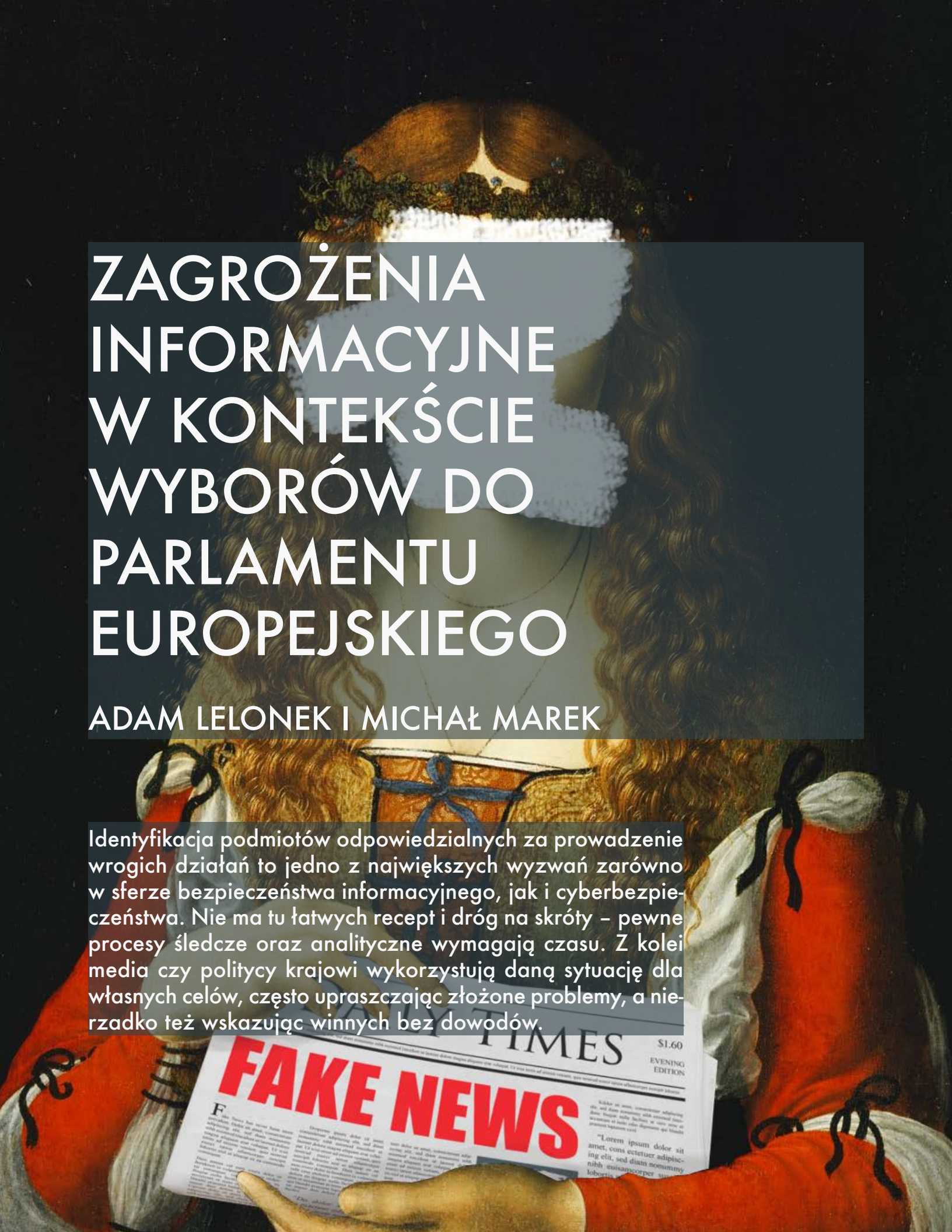
Największe wyzwania w dziedzinie bezpieczeństwa informacyjnego dla Unii Europejskiej

Tak jak dla Stanów Zjednoczonych punktem przełomowym były wybory prezydenckie, tak dla Europy za taki można uznać Brexit. Obok niego szczególną wagę miały wspieranie ruchu separatystycznego Katalonii oraz sprawa Siergieja Skripala. W każdym z tych przypadków mamy do czynienia z zakrojonymi na szeroką skalę kampaniami informacyjnymi i próbami oddziaływania informacyjnego i psychologicznego na

różne grupy odbiorców w poszczególnych krajach czy na poziomie międzynarodowym z wykorzystaniem państwowych ośrodków medialnych, ale i administracji państwowej przez Federację Rosyjską.

To jednak nie wszystko. Od lat ma miejsce wspieranie partii eurosceptycznych i antysystemowych (m.in. Finlandia, Niemcy, Szwecja, Francja, Wielka Brytania, Włochy, Grecja, Hiszpania), cyberataki (państwa bałtyckie, Ukraina, Niemcy, Czechy, Francja, USA), ale i szeroki wachlarz działań niejawnych, z organizowaniem prowokacji włącznie. Innymi słowy wojna informacyjna ma wymiar realnych, skoordynowanych działań, mających przełożenie na funkcjonowanie państw, ale i samych obywateli.

Ingerencje w przestrzeń informacyjną państw europejskich mają charakter zewnętrzny (działania obcych podmiotów), ale i wewnętrzny – mogą być realizowane przez krajowe podmioty świadomie lub nieświadomie. Identyfikacja podmiotów odpowiedzialnych za prowadzenie wrogich działań to jedno z największych wyzwań zarówno w sferze bezpieczeństwa informacyjnego, jak i cyberbezpieczeństwa. Nie ma tu łatwych recept i dróg na skróty – pewne procesy śledcze oraz analityczne wymagają czasu. Z kolei media czy politycy krajowi wykorzystują daną sytuację dla własnych celów, często upraszczając złożone problemy, a nierzadko też wskazując winnych bez dowodów.



Ogólnie cele infoagresorów są znane. Chodzi m.in. o podważanie sensu integracji europejskiej jako takiej, obniżanie zaufania pomiędzy sojusznikami (tak na poziomie UE, jak i NATO), budowanie/wzmacnianie poczucia niesprawiedliwości i/lub zagrożenia ze strony organizacji czy ich państw członkowskich, dyskredytowanie elit krajowych i zagranicznych, obniżanie poziomu zaufania do instytucji międzynarodowych, ale i krajowych czy wreszcie dyskredytowanie procesów demokratycznych, a wręcz i demokracji

użytkowników internetu i brak podstawowej wiedzy o higienie informacyjnej. Korzystając wyłącznie z wąskiej grupy źródeł lub mediów społecznościowych do czerpania wiedzy o świecie, miliony ludzi nie zdają sobie sprawy, że zaczyna funkcjonować w bańkach informacyjnych – ich obraz świata kreowany jest przez algorytmy mediów społecznościowych czy aplikacji, które dostosowują wyświetlane czy polecane treści do preferencji określanych na podstawie wcześniejszych wyborów. Innymi słowy sami użytkownicy zawę-

Związane jest to także z kwestią rozwoju i pracy nad komunikacją strategiczną, której brakuje nie tylko Unii Europejskiej. Jednym z dostrzegalnych procesów, który stanowi niemałe zagrożenie dla wspólnoty europejskiej jest tendencja do pozostawiania negatywnych przekazów na temat UE i jej działań czy celów bez odpowiedzi. Jednocześnie sami politycy krajowi działają nierzadko sprzecznie z zasadami solidarności czy przeciwko słabszym państwom, co tylko ułatwia działania infoagresorom – oni nie „wymyślają na nowo koła”, tylko wykorzystują nasze własne błędy. Dość wspomnieć w tym miejscu o Nord Stream 2 czy sprawie rosyjskiego żaglowca „Siedow”, który został wpuszczony do portu w Niemczech, mimo wcześniejszych odmów sojuszników. W tym samym czasie pojawia się równoległe interpretacja o tym, że Niemcy (lider UE) prowadzi politykę odmienną od sojuszników w regionie, narażając ich na zagrożenia w sferze politycznej i energetycznej, nie rozumiejąc lub ignorując ich obawy co do działań Kremla. W tym samym czasie część inne narracje rosyjskich ośrodków propagandowych wspiera krytykę m.in. polskiego rządu za (ich zdaniem) radykalizm i uprzedzenie wobec Rosji. Brak koordynacji działań rządów UE oraz brak jednoznacznej pozycji stolic państw europejskich w kwestiach bezpieczeństwa oraz stosunków zagranicznych również rzutuje na ocenę UE jako całości (struktury/wspólnoty).

Analogicznie będzie z komunikacją odnośnie współpracy z USA i obecności wojsk

amerykańskich na kontynencie europejskim. Przedstawianie jej w negatywnym świetle to kolejne wyzwanie dla Wspólnoty. Następuje instrumentalizacja kluczowych zagadnień dla bezpieczeństwa całego Zachodu, które stają się zakładnikami wewnętrznych gier politycznych. Najczęściej krajowi politycy z Europy zupełnie nie dostrzegają faktu, że ich przekazy pokrywają się z rosyjskimi narracjami o „prowokowaniu Rosji” czy „NATO jako aktorze zagrażającym ładu i porządkowi regionalnemu”. Także głosy ekspertów o tym, jak Sojusz czy Unia nie funkcjonują prawidłowo korelują z komunikatami popularyzowanymi przez rosyjskie ośrodki wpływu w Europie. Elity w Brukseli muszą zmienić podejście do metod komunikacji ze społeczeństwami, ale i wzmocnić w końcu wektor identyfikacji i przeciwdziałania zagrożeniom informacyjnym.

Największe wyzwania informacyjne dla Polski

Poważny niepokój środowisk eksperckich, akademickich i politycznych powinien wzbudzać fakt ugruntowywania się w polskim społeczeństwie silnych podziałów wynikających z sympatii politycznych (różnic światopoglądowych). Ukorzeniająca się polaryzacja społeczeństwa dotyczy bezpośrednio istniejącego w Polsce sporu politycznego – różnej oceny działań kolejnych rządów oraz różniącej się wizji rozwoju państwa. Kluczowe media wydają się nie być świadome zagrożenia wynikającego z aktywnego udziału w procesie polaryzowania społeczeństwa poprzez aktywne

Politycy krajowi działają nierzadko sprzecznie z zasadami solidarności czy przeciwko słabszym państwom, co tylko ułatwia działania infoagresorom – oni nie „wymyślają na nowo koła”, tylko wykorzystują nasze własne błędy

jako takiej. Takie działania prowadzone są na wielu odcinkach równocześnie za pomocą różnych przekazów, skierowanych do różnych grup odbiorców informacji – np. inaczej będzie wyglądała konstrukcja przekazu dla ludzi młodych, inaczej dla tych ideologicznie wyprofilowanych, starszych czy z określonych grup zawodowych.

Takie ingerencje realizowane są przede wszystkim za pomocą narracji, tj. subiektywnych wykładni światopoglądowych, które zakłócają procesy poznawcze, tworząc tzw. alternatywną rzeczywistość informacyjną. Składają się na to złe nawyki

żając swoje możliwości poznawcze, dysponując przy tym ograniczonym czasem. Stwarza to idealne warunki do oddziaływań informacyjnych i psychologicznych – narracje dają proste wyjaśnienia na złożone procesy, a wręcz mogą zakłócać funkcjonowanie całych społeczeństw, prowadząc do zaogniania sporów wewnętrznych. Widać to doskonale na przykładzie Wielkiej Brytanii i Brexitu czy Hiszpanii i Katalonii. Podnoszenie poziomu wiedzy własnych obywateli, ale i edukacja elit na temat współczesnych zagrożeń i ich natury to kolejne z największych wyzwań stojące przed Unią Europejską.

lub umiarkowane wspieranie stron sceny politycznej. Sama polaryzacja jednak jest jednym z celów samych w sobie obcych podmiotów, gdyż dzięki niej można trwale destabilizować procesy polityczne i łatwiej ingerować w przestrzeń informacyjną.

Skutkiem polaryzacji jest to, że osoby będące zwolennikami jednej z opcji politycznych sięgają po przekaz jedynie wybranych mediów, przez pryzmat sympatii politycznych. Przekłada się to na skłonność do akceptowania przez danego

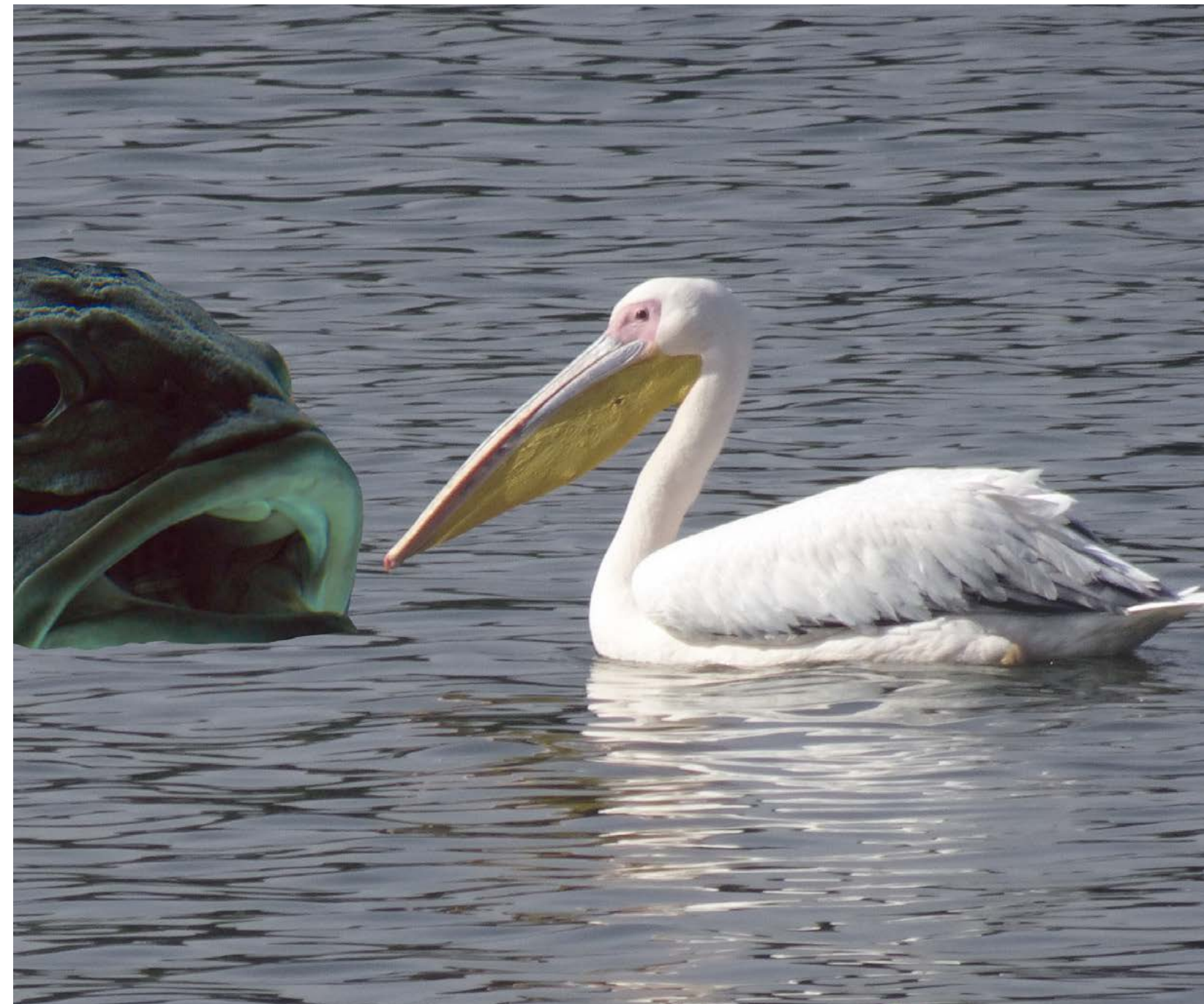
dyskursu wewnątrz krajowego z poziomu racjonalności na poziom emocji. Im bardziej spolaryzowane społeczeństwo, tym większe efekty oddziaływań informacyjnych i psychologicznych.

Kolejnym z największych wyzwań w Polsce jest utożsamianie zagrożeń informacyjnych z fake newsami, a fact-checkingu z przeciwdziałaniem dezinformacji. W rzeczywistości bowiem takie postawienie sprawy jest imitacją działań wobec źle zdiagnozowanego problemu. Jest tak dlatego, że polskie społeczeństwo pozostaje wciąż

Trudno o wolę polityczną do działania, kiedy aparat państwowy nie ma świadomości konieczności uzupełniania swoich wysiłków wraz ze społeczeństwem obywatelskim, będąc przy tym przekonany, że jest samowystarczalny

obywatela informacji korelujących z jego światopoglądem oraz z odrzuceniem przekazów podważających jego ocenę rzeczywistości. To z kolei wiąże się już bezpośrednio z oceną kwestii wywołujących dziś emocje, a wpływających na stosunek obywatela m.in. do Unii Europejskiej (imi-granci, kwestie praw mniejszości, aborcji, relacji z sąsiadami, oceny decyzji politycznych kluczowych dla bezpieczeństwa itd.). Tak się składa, że właśnie te tematy są najsilniej podnoszone przez rosyjskie ośrodki propagandowe – jednym z celów infoagresora zawsze będzie przeniesienie

nieświadome istoty zagrożeń informacyjnych. To z kolei jest winą braku działań edukacyjnych i uświadamiających zwłaszcza ze strony państwa. W najbardziej zaawansowanych państwach europejskich na odcinku przeciwdziałania zagrożeniom informacyjnym, tj. Czechach, państwach bałtyckich i państwach skandynawskich, jest jeden główny element, który odróżnia je od Polski – zaawansowana współpraca w ramach trójkąta: państwo-media-społeczeństwo obywatelskie. Same raporty służb specjalnych, poświęcone opisowi własnych czy wrogich działań m.in. Rosji czy





Chin są przecież formą komunikacji ze społeczeństwem. Komponent zaawansowanej komunikacji strategicznej jest wzmacniany faktem, że raporty te są jednocześnie tłumaczone na język angielski.

Doświadczenia tych państw, ale i samych organizacji pozarządowych, jasno pokazują, że stroną inicjującą współpracę musi pozostawać państwo. Bycie predystynowanym do inicjacji owej współpracy nie oznacza jednak pozycji monopolisty. Ani same NGO-sy, ani struktury państwowe nie są w stanie samodzielnie zmaterializować wyższego poziomu bezpieczeństwa informacyjnego kraju. Nawet rozpoczęcie współpracy jest dopiero początkiem. Chodzi tu jednak przede wszystkim o samo podejście, niejako „filozofię” rozumienia zagrożeń i percepcji bezpieczeństwa. Trudno o wolę polityczną do działania, kiedy aparat państwowy nie ma świadomości konieczności uzupełniania swoich wysiłków wraz ze społeczeństwem obywatelskim, będąc przy tym przekonany, że jest samowystarczalny.

Następnym wyzwaniem dla Polski jest rozwój mediów alternatywnych (platformy, które kreują się na niezależne źródła informacji). Pozwalają one na publikację dowolnych treści przez nieznaną autorów (lub bez wskazania autora) unikając odpowiedzialności za popularyzowanie fałszywych informacji lub dalece odbiegających od prawdy. Nie jest niczym dziwnym, że portale te mogą liczyć na szczególną popularność m.in. wśród młodzieży, która wkrótce nabędzie lub niedawno

nabyła prawo wyborcze. Upadek popularności (a czasem i autorytetu) wiodących, klasycznych mediów oraz tendencja dotycząca coraz częstszego pozyskiwania wiedzy na temat bieżących wydarzeń za pośrednictwem internetu (w tym przy pomocy portali społecznościowych) daje tzw. portalom alternatywnym dogodną pozycję pozwalającą kreować światopogląd swoich odbiorców (szczególnie młodych).

Co jest ważne, nie tylko są na nich obecne narracje typowe dla rosyjskich ośrodków propagandowych – one wprost powielają treści tych ośrodków. Koncentrują się chociażby na przekazach uderzających w wizerunek Unii Europejskiej, przedstawiając ją jako strukturę stojącą na skraju upadku, działającą wbrew interesowi państwa polskiego, a wręcz na jego szkodę. Co więcej publikują treści antysemickie, antyniemieckie, antyamerykańskie czy antyukraińskie, oddziałując jednocześnie na kształtowanie postaw i zachowań różnych odbiorców, a potencjalnie i preferencje wyborcze. Warto podkreślić, że jest to właśnie pochodna braku spójnej polityki edukacyjnej odnoszącej się do zwiększenia zdolności polskiego społeczeństwa w zakresie identyfikacji i przeciwdziałania dezinformacji. W swojej istocie jednak problem ten stanowi poważne zagrożenie dla procesów demokratycznych Polski.

Wnioski i zalecenia

Bezpieczeństwo informacyjne nie jest stanem, który może być jednoznacznie osiągnięty. Nie jest też

działaniem, które może być zrealizowane jedynie w sferze prawnej. Obejmuje ono działanie państw i społeczeństw. Tylko świadome społeczeństwo może być w stanie bronić się przed zagrożeniami informacyjnymi, a często powtarzana sentencja w kwestii obronności i Sojuszu Północnoatlantyc-

zy eksperci. Oni także potrzebują działań edukacyjnych i szkoleń, a zwłaszcza realizacji podstawowych zasad etyki zawodowej oraz obiektywizmu, w tym wyjścia poza strefę komfortu i niepublikowania tekstów wyłącznie zgodnych z akceptowanym przez siebie światopoglądem.

Tylko świadome społeczeństwo może być w stanie bronić się przed zagrożeniami informacyjnymi, a często powtarzana sentencja w kwestii obronności i Sojuszu Północnoatlantyckiego, tj. „jesteśmy tak silni jak nasze najślabsze ogniwo” – jest prawdziwa

kiego, tj. „jesteśmy tak silni jak nasze najślabsze ogniwo” – jest prawdziwa. Dopiero uświadomienie sobie tego faktu, pozwoli na podjęcie adekwatnych kroków.

Trzeba także pamiętać, że mimo szeroko zakrojonych działań nie każdego będzie się dało wyciągnąć z jego własnej bańki informacyjnej. Co nie znaczy, że nie należy edukować społeczeństw. Takie procesy rozłożone są na lata i powinny być rozpoczęte od najwcześniejszych etapów edukacji, jak robi to Szwecja i Finlandia. Bezpieczeństwo informacyjne zależy przede wszystkim od nas samych – odbiorców informacji, użytkowników internetu. Są jednak grupy o podwyższonej odpowiedzialności społecznej, jak dziennikarze

Ich błędy lub polityczne angażowanie się mają swoje skutki na całym Zachodzie – prowadzą do wzrostu popularności tzw. mediów alternatywnych (które same pozorują bycie politycznie niezaangażowanymi), ale i spadku zainteresowania prasą, co powoduje dalszy spadek zarobków w branży.

Nie wszystkie działania informacyjne i psychologiczne są emanacją obcych, wrogich działań. W wielu państwach zachodnich same rządy, partie polityczne czy grupy interesów realizują w praktyce dezinformację na poziomie wewnętrznym, walcząc o wpływy. Oczywiście ze szkodą dla interesu państwa. Szczególną opieką powinny więc cieszyć się wszelkie projekty związane

z monitoringiem mediów, dziennikarstwem śledczym, analityką procesów informacyjnych, ale i specjalistycznymi kursami i szkoleniami.

Cyberbezpieczeństwo i bezpieczeństwo informacyjne mają fundamentalne znaczenie nie tylko dla funkcjonowania administracji państwowych, ale i całego systemu demokratycznego i porządku publicznego. Ich znaczenie będzie tylko rosnąć. Niestety tak w Polsce, jak i w Europie, rosnące zainteresowanie tym drugim jest praktycznie wyłącznie w okresie zbliżających się wyborów. Po raz kolejny więc Zachód na poziomie polityczno-instytucjonalnym nie odrobił lekcji z historii

i jest przekonany, że wybiórcze działanie raz na 4 czy 5 lat jest wystarczające. Miejmy nadzieję, że podczas tych wyborów jeszcze będzie. Zapewne ostatni raz. ●



DR ADAM LEŁONEK

Prezes Zarządu i współzałożyciel Fundacji Centrum Analiz Propagandy i Dezinformacji, doktor nauk politycznych. Od kilku lat zajmuje się badawczo tematyką wojny informacyjnej i psychologicznej, dezinformacją, propagandą i zagrożeniami hybrydowymi. Pracuje m.in. nad identyfikacją narracji narzucanych do przestrzeni informacyjnych Polski i innych państw europejskich.



MICHAŁ MAREK

Analitik Fundacji Centrum Analiz Propagandy i Dezinformacji, doktorant na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Nauk Politycznych UJ w Krakowie. Prowadzi badania z zakresu rosyjskich działań dezinformacyjnych w przestrzeni medialnej krajów Europy wschodniej i centralnej. Zajmuje się również analizą bieżącej sytuacji politycznej na Ukrainie oraz problematyką bezpieczeństwa, ze szczególnym uwzględnieniem tendencji obecnych w regionie Morza Czarnego i Europy Wschodniej.

EUROPA POLITYCZNA I POLITYCZNE SPOŁECZEŃSTWO – POTRZEBUJEMY DEMOKRATYCZNIE WYBIERANEGO PREZYDENTA EUROPY

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Elity polityczne wciąż funkcjonują głównie na poziomie państw, to tutaj odbywają się zasadnicze spory polityczne, wydarzenia wywołujące emocje społeczne, całość procesów, która powoduje budowę tożsamości i zaangażowania ludzi we wspólnotę.

Można różnie interpretować sytuację, w której znalazła się Wspólnota Europejska. Wielu ekspertów wieszczy, że obecne napięcia zwiastują jej rychły koniec. Inni twierdzą, że wręcz przeciwnie – sposób w jaki Unia Europejska radziła sobie i radzi z kolejnymi kryzysami: finansowym, uchodźczym czy negocjacjami w sprawie Brexitu, pokazuje jak silnym jest organizmem, pomimo wyzwań takiej skali. Osobiście ta druga opinia wydaje mi się bliższa rzeczywistości. Zbyt często nie doceniamy siły Unii Europejskiej. W jednej sprawie jednak wydaje się, że wielu ekspertów będzie zgodnych. W ostatnich latach Wspólnota przechodziła liczne perturbacje i problemy. Jednocześnie dynamika jej rozwoju politycznego zatrzymała się

że obecna konstrukcja Unii Europejskiej nie w pełni zdołała pokonać świetnie znane z historii napięcia między narodami. Co więcej, dziś konflikt zbrojny pomiędzy wybranymi dwoma krajami członkowskimi Unii Europejskiej wciąż jest bardziej prawdopodobny niż na przykład między Stanem Kalifornia i Stanem Tennessee. Wystarczy sięgnąć do wielu polskich skrajnie prawicowych gazet i w ich retorykę odgrzewania historycznych resentymentów i podgrzewania starych konfliktów polsko-niemieckich, aby zrozumieć, że pod powierzchnią ładnie wyglądającej pokojowej polityki wciąż tkwią demony, które w nieszczęśliwych okolicznościach mogą wypłynąć na powierzchnię. Nie jest to wyjątek na mapie Europy, wystarczy przypomnieć resentymenty

Pod powierzchnią ładnie wyglądającej pokojowej polityki wciąż tkwią demony, które w nieszczęśliwych okolicznościach mogą wypłynąć na powierzchnię

na pewnym poziomie strukturalnym i ma żadnego realnego pomysłu na to, w jaki sposób dalej umocnić Unię – idei, która mogłaby w realny sposób wskazać jak można próbować pogłębić integrację angażując w te działania europejskich obywateli.

Ostatnie lata to również czas silnego powrotu nastrojów nacjonalistycznych i trybalistycznych, który możemy zaobserwować wśród znaczącej części społeczeństw wielu krajów Europy. Nie jest to zjawisko nowe, widać jednak,

węgierskich nacjonalistów wobec Słowacji, czy tłący się konflikt flamandzko-waloński grożący rozsadzeniem Belgii. Dlatego też powszechnym wydaje się poczucie, że obecna struktura Unii Europejskiej może trwać jeszcze długo, ale nie jest strukturą docelową, która zapewni nam wieczny europejski pokój.

Szerokie społeczeństwa polityczne wciąż funkcjonują na poziomie państw narodowych, natomiast na arenie europejskiej polityczność wciąż ograniczona jest do dość wąskiej elity. Nie stworzono

dla niej odpowiednich instytucji, w których mogłyby zaistnieć, przestrzeni gdzie miałyby możliwość swobodnie się rozwijać. Elity polityczne wciąż funkcjonują głównie na poziomie państw, to tutaj odbywają się zasadnicze spory polityczne, wydarzenia wywołujące emocje społeczne, całość procesów, która powoduje budowę tożsamości i zaangażowania ludzi we wspólnotę. W efekcie w obecnej strukturze oczywistym jest, że dla większości członków poszczególnych społeczeństw, to państwa pozostaną głównym punktem odniesienia i zaangażowania. Polityczność europejska pozostanie zaś dla ludzkich emocji tworem pobocznym, drugoplanowym, czy nie do końca wyrazistym.

Potrzebujemy stanowiska Prezydenta Unii Europejskiej wybieranego w powszechnych europejskich wyborach przez wszystkich obywateli. Nic tak skutecznie nie zaangażuje obywateli jak możliwość wyboru głowy Wspólnej Europy

Opisany dylemat nie jest nowy. Od lat usiłowali odpowiedzieć na niego europejscy federaliści tacy jak chociażby Grupa Spinelli. Jednak ich propozycje pozostawały, i moim zdaniem niestety pozostaną utopijne. Nikt nie powoła paneuropejskiej listy w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Nie ma i nie będzie dziś na to presji społecznej, a rozwiązanie to może zbyt skutecznie godzić w interesy partyjne i stanowiska kluczowych politycznych graczy

w Europie. Nikt więc takiego rozwiązania nie wprowadzi, niezależnie od konserwatywnej czy liberalnej ideologii. Federacji musieliby chcieć albo obywatele albo elity polityczne. Zanim więc na stole będzie można położyć pomysły prowadzące do stworzenia silniejszej federacji europejskiej, która leży w geostrategicznym interesie Europy i jej mieszkańców, należy stworzyć mechanizmy budujące szerszą „polityczną Europę”, zaangażowanie samych obywateli.

W pierwszym więc kroku potrzebujemy Pan-Europejskiej Agory, czyli przestrzeni instrumentów i instytucji, które będą służyć powstaniu europejskiego, zaangażowanego społeczeństwa politycznego. Jej powsta-

nie jest warunkiem koniecznym, aby w przyszłości móc myśleć o ściślejszej federalizacji krajów Unii Europejskiej. Znacznie szersze kręgi obywatelskie muszą być emocjonalnie zaangażowane w polityczne życie na poziomie europejskim. Jak osiągnąć ten cel?

Sądzę, że jest jeden dość prosta droga, która w naturalny i samoistny sposób będzie napędza-



ła kolejne mechanizmy. Potrzebujemy stanowiska Prezydenta Unii Europejskiej wybieranego w powszechnych europejskich wyborach przez wszystkich obywateli. Nic tak skutecznie nie zaangażuje obywateli jak możliwość wyboru głowy Wspólnej Europy. To będzie miało ogromne znaczenie symboliczne, takie jak dla brytyjskiej Commonwealth ma dziś Królowa,

a dla Stanów Zjednoczonych Prezydent. Jednocześnie w praktyce wcale nie jest potrzebne, aby Prezydent Europy miał większe uprawnienia niż obecny Przewodniczący Rady Europejskiej (wybierany przez rządy krajów członkowskich). Wystarczy, że będzie miał funkcje reprezentacyjne i rolę negocjatora. Prezydent Europy potrzebny jest jako symbol, a możliwość jego wyboru przez obywateli

wszystkich krajów Europy będzie konsekwentnie budowała europejską tożsamość i zaangażowanie w sprawy Europy. Ludzie utożsamiają się z liderem, z konkretną osobą, a nie z poszczególnymi instytucjami. Zachowanie bardzo wąskiego zakresu kompetencji przez Prezydenta sprawi, że ta zmiana może nie być agresywnie zwalczana przez elity polityczne, które na skutek tej reformy nie stracą żadnego ze swoich aktualnych przywilejów czy realnej władzy.

Jednocześnie jednak tego rodzaju reforma uruchomi zupełnie nową dynamikę społeczną i polityczną. Jestem przekonany, że na bazie takich paneuropejskich wyborów, siłą rzeczy media będą musiały uwzględnić w swojej agendzie więcej tematyki europejskiej. Uważam, że powstaną nowe paneuropejskie media. Wytworzy się nowa dynamika społeczna, która za kilkanaście lat może pozwolić na kolejne kroki prowadzące już do realnej federalizacji Europy, również w zakresie twardych kompetencji lub zakresu władzy. Nacisk społeczny może o tym zadecydować. Najistotniejsze będą jednak zmiany zachodzące w głowach obywateli i budowanie przywiązania do wspólnoty i europejskiej tożsamości.

Zarówno Europy, jak i poszczególnych krajów członkowskich, wobec rosnącej potęgi nowych globalnych liderów takich jak Chiny, Brazylia, Indie (czytaliście Państwo o dynamice wzrostu populacji w Nigerii?), czy starych jak USA lub Rosja, nie stać dziś na rozbięcie czy trwałe wewnętrzne konflikty. Europa albo będzie zjednoczona, albo zostanie całkowicie zmarginalizowanym półwyspem, prędzej czy później zwasalizowanym w takiej lub innej konfiguracji przez globalnych hegemonów. Hegemonów, którzy często wyznawać będą wartości bardzo dalekie od liberalnych idei obecnej Europy, ale również dalekie od chrześcijańskich korzeni, na które tak często powołują się przeciwnicy Unii Europejskiej. To liberalna zjednoczona Europa jest gwarantem swobód dla chrześcijan, których mogą nie uzyskać w rozczłonkowanym kontynencie podporządkowanym innym potęgom. Federalizacja Europy powinna być więc wspólnym celem zarówno sił liberalno-progresywnych, jak i chadecko-konserwatywnych.

Dlatego czas na wspólny sztandar i wspólne żądanie. My obywatele Europy chcemy prawa do wyboru Prezydenta wspólnej Unii Europejskiej! ●



BŁAŻEJ LENKOWSKI

Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberté!*.

Magda Melnyk w Bibliotece Liberté!

Magda Melnyk mierzy się z nieprostą próbą udzielenia odpowiedzi na to łatwo brzmiące pytanie. Obrazowo przedstawia historię ścierania się procesów centralizacyjnych z ośrodkowymi, a na tej skomplikowanej osi sporu prezentuje przebieg kształtowania się państwowości hiszpańskiej. Autorka krok po kroku demistyfikuje przeszłość, która zarówno przez nacjonalistów narodowych jak i regionalnych była i jest silnie zniekształcana dla własnych celów propagandowych. Historia stanowi jedynie punkt wyjścia dla wydarzeń współczesnych, które są meritum niniejszej publikacji. Melnyk ukazuje polityczne zależności, które bezpośrednio wpływają na kształt i funkcjonowanie regionów autonomicznych, a także na obecną niewydolność tego systemu gdy starzy gracze (ludowcy, socjaliści, nacjonałści katalońscy, monarchia) stawiają dziś czoła wielkim aferom korupcyjnym i walczą o przetrwanie. Od dawna oczekiwana reforma konstytucji, która jest jedynym antidotum na współczesny kryzys, nigdy nie wydawała się tak trudna do przeprowadzenia.



BIBLIOTEKA LIBERTÉ!



GRZEBIĄC W FUNDAMENTACH (NA BIS)

MAGDALENA M. BARAN

Przenikające się kultury, jak bywało drzewiej, tworzą całość dzięki zachowaniu równowagi pomiędzy kolejnymi falami afirmacji i negacji kolejnych wątków, w różnych odmianach i formach, obecnych w Europie od jej początków.

Wyrośłam na Szekspirze, na greckiej mitologii przełożonej przez Nathaniela Hawthorna w wersję dla dzieci, na opowieści o podróżach Marco Polo, pośród albumów o sztuce, w których obok nagich dam z marmuru płasali bohaterowie „Wojny postu z karnawalem” Pietera Bruegla, rozkwiatały kwiaty Moneta, a picassowskie „Panny z Avignon” śmiały się swymi wykrzywionymi ustami. Ukryta w regale na książce późną nocą oglądałam na czarno-białym wówczas ekranie dzieje „Elżbiety, królowej Anglii”, w cudownej wersji serialu BBC. Każda z tych „rzeczy” (pośród wielu im podobnych) wiązała się dla mnie z opowieścią, z tym, co leży u podstaw kultury w jakiej się urodziłam. Dla dziecka, któremu uparcie i bez cienia znużenia tłumaczono czym były kariatydy, po co budowano łuki triumfalne, kim był ów Klaudiusz, kręcący się po ekranie w skórze Derecka Jacobiego, dlaczego na obrazach w miejsce twarzy pojawiają się barwne trójkąty, a kwiaty zamieniły się nagle w metalowe secesyjne lampy, opowieść wydawała się kompletna. Wszystko było logiczne, przechodziło jedno w drugie, stanowiąc jeśli nie kontynuację, to zaprzeczenia, albo przynajmniej znak zapytania postawiony przez potomnych przy motywie, który widziało się kilka stron wcześniej. To, co określamy mianem kultury dla dziecka, którym wówczas byłam, stanowiło bogatą całość, wielowątkową opowieść, dającą możliwość nie tylko edukacji, w jaką dziś wierzę, ale i wychowania do rozumienia owej kultury – a dziś i Europy – jako całości. I właśnie takie jej

rozumienie i nauczanie wydaje mi się jedynym rozwiązaniem na przyszłość.

Owa dynamiczna, wciąż na nowo stająca się całość stanowi jednak nieustanny przedmiot zapytywania. Jest przy tym tworem jako żywo przypominającym cortazarowską „Grę w klasy”, możliwą do odczytania stronica po stronicy, wedle ustalonego przez autora schematu, albo według indywidualnie stworzonego klucza. Każde kolejne pytanie o przyszłość europejskiej kultury z konieczności odnosi nas do tego, co już znamy, a jednocześnie odsyła ku nowym otwarciom. Bo choć katalog wielości praktycznie codziennie zyskuje nowe stronicy, to bez znajomości pierwszej z opowieści nie będziemy potrafili ich czytać. Tam bowiem znajdują się owe kody, korzenie, fundamenty – jakkolwiek chcemy je nazywać – stanowiące archimedesowy punkt naszego rozumienia. Opierając na nich stopy rozpoczynamy kulturową grę językową, której na imię Europa.

Wszelkie próby opisywania europejskiej kultury sprowadzane są do grzebania w fundamentach. Dzieje się tak z konieczności, trudno bowiem wyobrazić sobie adekwatny opis oderwany od tego, co od wieków stanowi nie tylko podstawy naszej narracji, ale także zrąb, na którym przez stulecia pokolenia budowały komunikację, zarówno kulturową, jak i polityczną. Gdy jednak w podręcznikach i debatach jednym tchem wymienia się w tym miejscu dziedzictwo greckiego i rzymskiego antyku oraz późniejsze europejskie monoteizmy, to

pozostawiając je samym sobie, odrywając od kontekstu historycznego, kulturowego, a nawet geograficznego można zatracić ową wspólność, która od wieków jest przewodnim motywem europejskiego myślenia, a również i tego, co przywykliśmy określać mianem cywilizacji zachodniej.

Głupstwem byłoby spierać się o znaczenie dziedzictwa greckiego antyku. Mówimy rzecz jasna o filozofii, teorii państwa (wraz z uświadomioną przez cywilizację zachodnią demokracją), o podwalinach większości nowożytnych nauk, o ideale

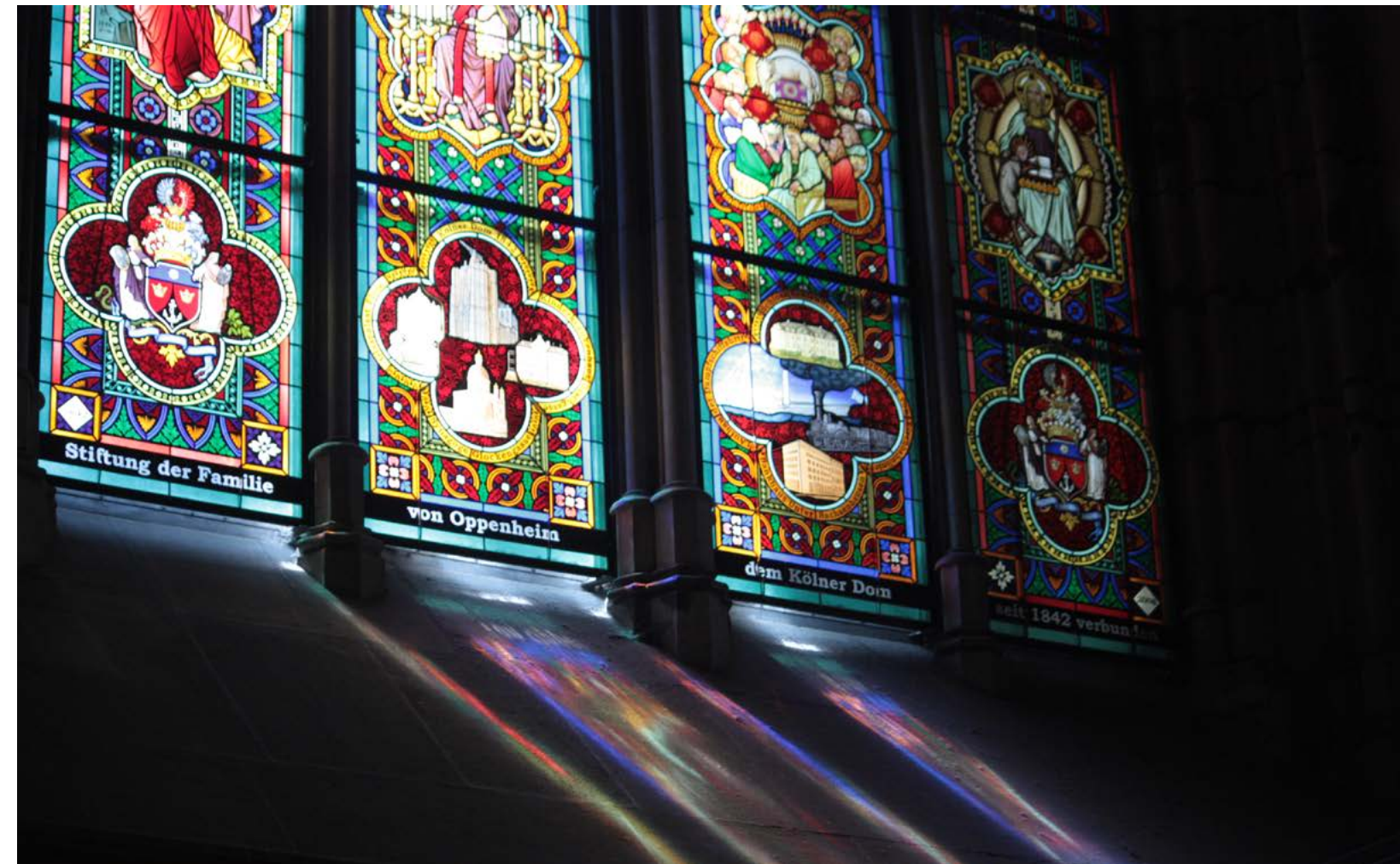
przez Europejczyków podczas wakacyjnych wypadów do Turcji).

Drugim z owych bezspornych fundamentów jest rzecz jasna kultura starożytnego Rzymu, wraz z jego sztuką, literaturą, retoryką, a przede wszystkim z prawem i organizacją państwa – cesarstwa, którego wpływ i znaczenie do dziś stanowi ważny element porządku Starego Kontynentu. Ba, choć samo Imperium przeminęło wieki temu, to podróżując przez Europę wciąż można powiedzieć, gdzie kończyły się długie macki antycznego Rzy-

Każde kolejne pytanie o przyszłość europejskiej kultury z konieczności odnosi nas do tego, co już znamy, a jednocześnie odsyła ku nowym otwarciam

harmonii, proporcji i liczby, a także o (ulubionej przeze mnie, a po wielokroć przetwarzanej przez kolejne fale kulturowych przemian) triadzie prawdy, dobra i piękna, po wielokroć dyskutowanych, gdy idzie o ich etyczną „zawartość”, a przecież przyjmowanych za absolutne podstawy kultury i organizacji życia czy relacji do świata. Inna rzecz, że to, co przywykliśmy określać mianem kolebki kultury europejskiej w sporej swej części znajduje się albo poza granicami Europy, albo na terytorium, co do którego wciąż spieramy się czy ma stać się częścią UE (mowa tu choćby o starożytnym Efezie czy Troi tłumnie odwiedzanych

mu. Tu bowiem kultura rozszerzała się i wzbogacała wraz z rozwojem państwa, dokonywanym na drodze nieustannych podbojów. Te z kolei nie oznaczały unicestwienia wszystkiego co lokalne, przeciwnie, pozwalały na zachowanie fundamentów tożsamości, przy jednoczesnym wzbogaceniu kultury danego regionu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, iż późne Cesarstwo Rzymskie stanowi coś na kształt zintegrowanego organizmu „przedeuropejskiego” (by nie powiedzieć „pre-unijnego”), gdzie w ramach ponadnarodowej struktury różne kultury funkcjonowały pod egidą jednego prawa.



Trzeci element triady europejskiego dziedzictwa kulturowego stanowią trzy wielkie monoteizmy. Trudno bowiem mówić o wyłączości jednej tylko religii, podczas gdy jej hegemonia zawsze stawała wobec innych wierzeń, bądź to czerpiąc z ich dziedzictwa (vide choćby relacje między terminami święt starożytnych Rzymian i chrześcijan), budując

jąc wyznanie na wspólnych fundamentach (vide relacja judaizmu i chrześcijaństwa), czy w końcu stawiając świat wobec opozycji wiernych i niewiernych. Jakkolwiek bowiem chrześcijaństwo na stulecia stało się religią dominującą, wielokrotnie stanowiącą o kulturowym i politycznym rozwoju Europy, to nie da się zaprzeczyć wpływom,



jakie pozostawili tu tak Żydzi, jak i muzułmanie. Nie bez znaczenia pozostaje również przemiana samego chrześcijaństwa, które w momencie rozbitcia Kościoła rzymskiego, w protestantyzmie zyskuje zupełnie nowe oblicze, od spraw boskich przenosząc akcent na to, co ludzkie. Obok etosu pracy protestantom Europa zawdzięcza bowiem większe otwarcie na różnorodność, a także skierowanie malarskich pędzli i piór literatów ku motywom życia codziennego.

Owa triada faktycznie stanowi o tożsamości kulturowej kontynentu, generuje pewne kody i gry językowe, dzięki którym – choć niezmiennie podzieleni na dziedziców Cesarstwa Rzymskiego i Imperium Bizancjum, żyjąc między Atlantykiem a Uralem – jesteśmy w stanie całkiem nieźle się porozumieć. Bo choć wpływy Rzymu i Konstantynopola sprawiły, iż Europa (odpowiednio do siły oddziaływania) posługuje się różnymi alfabetami, zachowuje własne obrządki religijne oraz sposoby sprawowania władzy i urzędzenia krajów, to przecież rozmawiamy, ba, dzięki pierwotnej wspólnotocie kulturowej ponad owymi podziałami tworzymy wspólną narrację. Zawdzięczamy to właśnie temu, że Europa praktycznie nigdy nie była jednorodna, a wszelkie próby jej unifikowania kończyły się niepowodzeniem. Bezrefleksyjna jedność niczego nie tworzy. Tu gdzie dziś stoi katolicka świątynia, kilka wieków wcześniej składano dary starożytnym bogom. I tak – przykładowo – niegdysiejsze miejsce kultu rzymskiej bogini mądrości Minerwy, nowa

religia poświęciła matce swego zbawiciela. Nie zapomniano przy tym dziedzictwa ani jednych, ani drugich wieków, już w samej nazwie jednej ze świątyń honorując obie damy (vide rzymska bazylika *Santa Maria sopra Minerva*). Kultury choć odległe stopiły się w jedno, właśnie dzięki owemu rozumieniu, stanowiącemu o dynamice europejskiej kultury, o tym, że wobec ciągłych jej przemian najlepszą wizją na przyszłość będzie nieustanne jej trwanie. By jednak zachować to, co najcenniejsze koniecznym wydaje się przywracanie pamięci o rozwoju kultury, jaki miał miejsce w okresie przed powstaniem państw narodowych. To patrzanie z ich perspektywy – jakże młodej w stosunku do kulturowej historii samej Europy – zaburzyło właściwy jej rytm, stając się polem wykluczenia, zawłaszczenia, nacjonalizacji, a tym samym czynnikiem stającym na drodze rozwoju.

Zachowanie świadomości kulturowego zakorzenienia nie przekreśla wszak pluralizmu, podobnie jak integracja nie staje na drodze rozwojowi tożsamości etnicznych, historycznych czy regionalnych, częstokroć stojących jeszcze przed tożsamościami narodowymi. Tu sztuczne granice budujemy sobie sami, albo najzwyczajniej pozwalamy się w nie włożyć. Kulturotwórcze jest przekraczanie owych granic, a zatem nic innego, jak swego rodzaju powrót do stanu kultury sprzed istnienia państw narodowych, sprzed zawłaszczenia i nacjonalizowania wątków, które dopiero jako całość stanowić mogą to, co określamy mianem kultury. Współistnienie i wielowąt-

kowość kulturowej narracji nie oznacza bowiem negacji jakiegokolwiek tradycji, przeciwnie, może stanowić jej konieczne wzbogacenie. Zanim bowiem Europa zaczęła się dzielić i włoczyła poszczególne społeczności w dość młoda ideę, jaką stanowią państwa narodowe, granice zdawały się nie mieć znaczenia. Średniowieczna czy renesansowa kultura była w prawdzie na usługach politycznych, jednak jej rozwój pozostawał swobodny, głównie dzięki przemieszaniu się poszczególnych kultur dworskich. Do Europy Środkowej renesans przybył wszak z Boną Sforzą, zaś do Skandynawii zawędrował z dworu włoskiego za

podporządkowanej ideologii danego państwa. Wedle tego schematu znana ze średniowiecza czy renesansu, pielęgnowana w idei uniwersytetu, swoboda wymiany myśli winna zaniknąć, ustępując miejsca swego rodzaju zaściankom. Zgodnie z nią można było być filozofem niemieckim, kompozytorem włoskim, malarzem francuskim, pisarzem rosyjskim albo polskim wieszczem narodowym, a nie po prostu Da Vincim, Pascalem, Machiavellim, Kopernikiem czy Lutrem. Na szczęście taki kulturowy koszmarek mamy już chyba za sobą, a jednocząca się Europa na powrót tworzy wspólnie, stając się poniekąd kosmopolityczna.

Bezrefleksyjna jedność niczego nie tworzy. Tu gdzie dziś stoi katolicka świątynia, kilka wieków wcześniej składano dary starożytnym bogom

pośrednictwem polskiego, gdy Jagiellonka poślubiła Wazę. Kultury nie definiowano wówczas ze względu na jej narodowość, ale na idee, jaki ze sobą niosła. Model niemal idealny. Tymczasem państwa, definiujące się wyłącznie jako narodowe (w rzeczywistości stanowiące często zbitki różnych społeczności, coraz częściej podnoszących głos w kwestii swej niezależności) mogą hamować rozwój kultury, szczególnie wówczas, gdy próbują ograniczać się do własnej tradycji, nacjonalizować ogólnoeuropejskie gry językowe, a także zabierają się za tłumaczenie ich wyłącznie w kontekście własnej historii albo narracji

Przenikające się kultury, jak bywało drzewiej, tworzą całość dzięki zachowaniu równowagi pomiędzy kolejnymi falami afirmacji i negacji kolejnych wątków, w różnych odmianach i formach, obecnych w Europie od jej początków. A skoro tak, to wizja kultury dzisiejszej, ale i przyszłej zasadza się na kolejnych falach reinterpretacji owych motywów, dodawaniu do nich wątków poszczególnych kultur lokalnych, a w końcu i na odniesieniu do tego, co wspólne. Dokonujemy zatem „nieinwazyjnej”, na europejskim gruncie kolejnej już syntezy, w której obok wątków kultury wysokiej znajduje swe miejsce również jej

wersja pop. To, co tak chętnie określa się mianem multikulturalizmu wolę określać właśnie syntezą, w której po kolejnych etapach afirmacji i negacji (czy jak kto woli tezy i antytezy czy lokalnej kulturowej czkawki wiecznego powrotu tego samego) wielu kulturowych wątków, sama kultura staje się wspólna. Pozostaje oczywiście specyficzną dla danego regionu, rozwija się na niezależnych ścieżkach (powiatoby grozą, gdyby miało być inaczej), ale u samych podstaw na ogólnie komunikowalne, zrozumiałe i przekładające się na każdą z poszczególnych kultur dziedzictwo. Jest zatem sercem Europy, jej korzeniem, językową grą, w którą gramy każdy z osobna i wszyscy razem. Dzięki niej – mimo wszelkich konfliktów, nieporozumień, niedomówień czy obecnych na różnych płaszczyznach niedociągnięć – jesteśmy dla siebie nawzajem zrozumieli przynajmniej na pewnym najbardziej podstawowym poziomie. To jednak tylko ta bardziej świetlana i optymistyczna część wizji europejskiej kultury.

Właściwej odpowiedzi na pytanie o wizję i przyszłość europejskiej kultury należy szukać również gdzie indziej, w punkcie, który leżał u początków

moich rozważań. Nie da się bowiem sensownie myśleć o jakiegokolwiek przyszłości bez pytania o to, czego chce się pewnego dnia chce się nauczyć własne dzieci. Czy wiedza, na podstawie której mają decydować o przyszłym kształcie tak polityki, jak i kultury może być wiedzą zamkniętą, opartą o zawłaszczanie motywów, pozbawienie kontekstu, a nawet o pewna nacjonalizację wątków, której w ostatecznym rozrachunku okazują się jeśli nie powszechne, to przynajmniej pozapaństwowe? Czy może wolimy by kultury europejskiej uczyć komplementarnie, jako kultury własne, a nie jako dodatku do lekcji ojczystego języka, religii, historii czy geografii? Wiedza musi płynąć z doświadczenia, a nie z takich czy innych cudzych opracowań, które mają przeżywać za nas świat. Przez trzymanie kultury pod narodowym kloszem, bez indywidualnego doświadczenia, bez oglądnięcia, wysłuchania, przeczytania, eksperymentu nie da się jej budować. Pozostaje pusta, a w najlepszym razie zimna i zaniedbana, a jej kody kurzą się tak, że aż kręci w nosie. A takiej, zakichanej wizji europejskiej kultury chyba byśmy nie chcieli. ●



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą (Liberté! 2018)* oraz *Oblicza wojny (Arbitror 2018)*. Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Liberté!*

ORDOLIBERALIZM – WOLNOŚĆ NA STABILNYCH FUNDAMENTACH

PIOTR BENIUSZYS

Tradycyjne, kształtowane od pokoleń rozumienie praw i obowiązków jednostki wyznacza jej obszar wolności, zaś rozpad jej naturalnej wspólnoty pozostawia do dyspozycji wyłącznie samowolę, która zazwyczaj prowadzi do nieodpowiedzialnego postępowania ze szkodą dla ordo.

Kryzys liberalizmu w świecie po II wojnie światowej był źródłem kilku prób jego rewaluacji. Jedną z nich był ordoliberalizm. Zdaniem przedstawicieli tego nurtu, trudności, jakie napotkały ideały wolnościowe, związane były z ogólnym rozkładem państwa i społeczeństwa. Triumf totalitaryzmu wyrósł z wielowymiarowego kryzysu instytucji życia publicznego. Zatem terapią miała być odbudowa liberalnej infrastruktury instytucjonalnej.

Oryginalność programu ordoliberalnego polega na jego eklektyzmie ideowym. Nurt ten czerpie zarówno z koncepcji znajdujących się na pograniczu pomiędzy liberalizmem a konserwatyzmem, jak i z dorobku liberalizmu socjalnego (upraszczając, można rzec, że ordoliberalizm jest wynikiem stycz-

dziać na rzecz dobra ogółu. Partykularyzmy należy przewyżczać również poprzez odbudowę tradycyjnej formy społeczeństwa. Ordoliberalowie silnie akcentowali znaczenie wspólnoty wartości duchowych dla jego poprawnego funkcjonowania. Sfera społeczna, polityczna i ekonomiczna są ze sobą ściśle powiązane. Wszystkie one muszą zostać objęte wspólnym łańcem (*ordo*), który zharmonizuje zachodzące w nich procesy i zabezpieczy życie publiczne przez degrengoladą i zagrożeniem totalitarnym.

W tym miejscu do dosyć konserwatywnych idei silnego autorytetu władzy państwowej i duchowej wspólnoty społecznej dochodzą elementy socjal-liberalne. Ordoliberalowie podkreślali, iż wolny rynek, własność i konkurencja nie wystarczają,

Oryginalność programu ordoliberalnego polega na jego eklektyzmie ideowym

ności idei liberalnej i chadeckiej). Celem przewyżczenia kryzysu, ordoliberalowie proponują w pierwszej kolejności odbudowę instytucji państwa i odzyskanie przez nią właściwej roli i funkcji społecznej. Musi nastąpić ogólne wzmocnienie władzy państwowej, szczególnie jeśli chodzi o odbudowę autorytetu, powagi i estymy urzędu. Silne i sprawiedliwe rządy liberalne pozwolą na wzmocnienie legitymacji demokratycznie wyłanianej władzy. Powinna ona stać ponad wszelkimi interesami grupowymi, w sprawiedliwy sposób

aby ustanowić upragniony łań. Niektóre procesy rynkowe, takie jak koncentracja dużych ilości kapitału w rękach nielicznych właścicieli i znaczne nierówności społeczne, a także powstawanie monopolii, pozostawione swojemu tokowi zupełnie bez jakiegokolwiek nadzoru ze strony instytucji społecznych i politycznych, stają się przyczyną różnorodnych, negatywnych procesów społecznych, w wyniku których dochodzi o uszkodzenia istotnych elementów *ordo* i rozpadu poczucia wspólnoty obywateli. Rynek jest koniecznym składnikiem

ordoliberalnego ładu, ale dla stabilizacji i łagodzenia rzeczywistych lub potencjalnych konfliktów społecznych, państwo jest uprawnione do ingerowania. Nasilenie się antagonizmów społecznych i dezintegracja wspólnoty w ostateczności mogą przecież zagrozić samemu rynkowi, jeśli kontrolę polityczną przejęliby zwolennicy planowania gospodarczego.

Władza państwa jest zatem powołana do tego, aby interweniować w sferę ekonomii wówczas, gdy ochrony wymagają istotne wartości ładu

Institucje rynku muszą zostać więc uzupełnione i uzgodnione z wymogami pozostałych elementów ładu: strukturą społeczną wraz z systemem wartości, władzą państwową oraz prawem. W odniesieniu do struktury społecznej, ordoliberalowie uznali, iż leseferyzm pociąga za sobą zagrożenie w postaci atomizacji społeczeństwa, gdyż wolny rynek nie jest czynnikiem, który mógłby samodzielnie pełnić funkcję społecznego integratora. Nie dysponuje on w wystarczającym stopniu treścią normatywną, która byłaby moralnym spoiwem dla społeczeństwa. Władza państwa jest zatem powołana do tego, aby interweniować w sferę ekonomii wówczas, gdy ochrony wymagają istotne wartości ładu. Jego dopełnieniem jest idea państwa prawa. Prawo to określa ramy dla wolności jednostek i zapobiega najbardziej niekorzystnym przejawom nadużywania wolności przez

społeczeństwo masowe. Z drugiej strony uniemożliwia rządzącym sięganie po środki ograniczające swobodę jednostki i arbitralność, będącą przejawem przechodzenia na pozycje totalitarne. Obywatel zyskuje możliwość stosunkowo łatwego przewidywania decyzji rządu, gdyż zawsze oparte są one o stabilne, czytelne i uzasadnione przepisy legislacji. Dzięki temu może on z zaufa-

niem planować własną działalność, szczególnie gospodarczą, na której większość obywateli powinna się – według nadziei ordoliberalistów – koncentrować, miast angażować się w zaognianie sporów politycznych. Władza demokratyczna powinna być ponadto wystarczająco rozproszona, tak aby zapobiegać zakusom potencjalnych dyktatorów. Jej siła leży w wizerunku i autorytecie aparatu państwa jako całości, w żadnym razie nie może się natomiast opierać na osobistych cechach charakterologicznych konkretnych ludzi sprawujących urzędy. Ordoliberalizm stoi zatem na stanowisku, iż ogólny ład, złożony ze skutecznego i funkcjonalnego, demokratycznego państwa prawa oraz społecznej gospodarki rynkowej, w której mechanizmy konkurencji nie szkodzą sferze moralnej życia publicznego, jest najlepszą receptą na przewyższenie kryzysu liberalizmu.



Osią ordoliberalizmu jest koncepcja społecznej gospodarki rynkowej. Odrzuciwszy zarówno socjaldemokratyczny program gospodarki planowej w państwie dobrobytu, jak i ideę całkowitego leseferyzmu, proponuje on rozwiązanie umożliwiające połączenie efektywności gospodarki rynkowej z zasadą społecznej kohezji. Mechanizm zapobiegania nadmiernemu rozwarstwieniu materialnemu i koncentracji kapitału w rękach nielicznej grupy, powinien znajdować się nie w rękach państwa i jego interwencji, a w rękach poszczególnych, funkcjonujących na rynku jednostek, dzielących na zasadzie konsensusu idee godności osoby ludzkiej oraz wspólnego dobra.

Głęboko osadzone w świecie wartości *ordo* jednostki samorzutnie modyfikują swoje postępowanie na rynku i uwzględniają potrzeby innych członków wspólnoty społecznej bez konieczności interwencji państwa. Ta zarezerwowana jest tylko do sytuacji wyjątkowych, gdy pojawia się ryzyko utraty stabilności społeczno-gospodarczej. Państwo może prowadzić politykę przeciwko monopolom, regulować cykle koniunkturalne, a nawet wprowadzać korekty socjalne. Natomiast społeczna gospodarka rynkowa samodzielnie działa na rzecz upowszechnienia i rozproszenia własności prywatnej, stabilizacji mechanizmu cenowego i siły nabywczej pieniądza, wolności transakcji

i zawierania umów, także w handlu międzynarodowym oraz odpowiedzialności materialnej podmiotów za decyzje gospodarcze. Jednak ordoliberalizm przestrzega także przed rozbudzeniem roszczeniowości mas i upadkiem moralnym, które są immanentnie związane z praktyką *welfare state*. Sprowokowane zostają w ten sposób niekorzystne zjawiska, takie jak sprzeciw, czy też pogarda dla własności, prawa, ciągłości i tradycji społecznej.

Ordoliberalowie postulują wyraźny rozdział władzy politycznej od ekonomicznej. Jest to ważny element z punktu widzenia uniknięcia arbitralności decyzji politycznych i utrzymania porządku państwa prawa, ale ma także zapobiegać kumulowaniu się kapitału w rękach bliskich władzy elit

finansowych. Ujęcie wolnego rynku w ramy regulacji prawnych, określających zasady postępowania i zawierania transakcji, odpowiednich dla oczekiwań struktury społecznej i nadzorowanych przez instytucje państwa, jest konsekwencją ordoliberalnego poglądu, zgodnie z którym przedsiębiorczość i rynek nie są – wbrew twierdzeniom klasycznych liberałów – naturalnymi przejawami ludzkiej aktywności, a raczej ulegają one stale wynaturzeniom i nieprawidłowościom, zakłócającym poprawne funkcjonowanie mechanizmów konkurencji. Temu muszą aktywnie przeciwdziałać pozostałe elementy *ordo*. Nie zmienia to faktu, iż gospodarka rynkowa jest najlepszą formą gospodarowania, systemem quasi-demokratycznym, w którym wszystko zależy od werdyktu

konsumentów. Jej mechanizmy pozwalają społeczności mieć udział w korzyściach, jakie na rynku uzyskują jednostki. Nadzór państwa nad prawidłowym funkcjonowaniem mechanizmów rynku powinien koncentrować się głównie na zapewnieniu pluralizmu, zarówno po stronie producentów, jak i odbiorców, tak aby nikt nie był w stanie wyrzeć bezpośredniego wpływu na ceny oraz na zapewnieniu równych uprawnień wszystkim uczestnikom gry rynkowej.

Od większości innych nurtów liberalnych tę koncepcję odróżnia uznanie priorytetu moralnego aspektu życia społecznego, którego wzorzec

się powściągać niekorzystne procesy polityczne, społeczne czy też ekonomiczne. Ordoliberalizm każdy rodzaj ludzkiej działalności poddaje zatem ocenie moralnego kryterium. Odnosi się to szczególnie do wolności jednostki i do jej zachowania na rynku. Odrzucona zostaje postawa *homo oeconomicus*, człowieka kierującego się w swojej wolności wyłącznie motywacją materialną. Własność prywatna jest nie tylko przywilejem, ale wiąże się również z konkretnymi zobowiązaniami i odpowiedzialnością wobec społeczeństwa, co do racjonalnego i uzasadnionego korzystania z niej, ze świadomością warunków panujących w otoczeniu społecznym właściciela.

Ordoliberalizm proponuje pozytywną koncepcję wolności, uzgodnionej z moralnym imperatywem wzięcia pod uwagę interesów dobra wspólnego, nie własnych

„Mgła, emocje, paradoksy” - felietony polityczno-społeczne Marka Migalskiego

„Im bardziej więc partie ze sobą wojują, im bardziej dominują w debacie publicznej, im bardziej zawłaszczają każdy temat, żeby wymienić ciosy, tym większą zyskują popularność i sympatię wyborców. Jeśli uda im się tak ustawić dyskurs polityczny, że każda, nawet najmniejsza kwestia, będzie przedmiotem ich zażartego sporu, w którym obie formacje zajmą skrajne pozycje, tym lepiej dla nich, bowiem dzięki temu będą w stanie obsłużyć emocjonalnie prawie całe spektrum społeczne. (...)”

Stracą zaś te ugrupowania, które będą nawoływać do pokoju społecznego, które będą wskazywać na jałowość tego typu sporów oraz wzywać do zakończenia bezsensownych kłótni i zajęcia się sprawami ważnymi dla elektoratu. Tacy »defetyści« na pewno nie zostaną uznani za wartych obdarzenia głosem wyborczym i będą musieli zadowolić się rolą statystów. Bo w polityce, gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają. I tylko oni”.



BIBLIOTEKA LIBERTÉ!



sklep.liberte.pl

zaczepnięty zostaje z chrześcijańskiego świata wartości, nad efektywnością ekonomiczną czy też swobodą niczym nieograniczonej ekspresji indywidualizmu jednostki. Te dwie ostatnie kategorie również są bardzo istotne, ale w ekstremalnych przypadkach ich ekspansja może doprowadzić do kryzysu, który w ostateczności oznaczać będzie ich autodestrukcję. Celem zapobieżenia temu, konieczne jest umieszczenie wszystkich elementów liberalnego życia społecznego w jeden system harmonijnej współzależności, gdzie będzie

Ordoliberalizm nawiązywał do idei konserwatywnych, gdy sprzeciwiał się relatywizmowi etycznemu i sugerował konieczność moralnego odrodzenia wobec kryzysu wartości społeczeństw zachodnich. Ograniczenie pola indywidualnego wyboru stylu życia, które siłą rzeczy musiało być z tym związane, nie było przez ordoliberalów postrzegane jednoznacznie jako ograniczenie wolności. Wywodzący się z tego nurtu filozofowie utrzymywali bowiem, iż wolność i swoboda postępowania człowieka możliwa jest wyłącznie

dzięki kontekstowi środowiskowemu. Tradycyjne, kształtowane od pokoleń rozumienie praw i obowiązków jednostki wyznacza jej obszar wolności, zaś rozpad jej naturalnej wspólnoty pozostawia do dyspozycji wyłącznie samowolę, która zazwyczaj prowadzi do nieodpowiedzialnego postępowania ze szkodą dla ordo. Poprzez ambitną pracę, osobiste zdolności i przymioty, wzmocnienie swojej pozycji i prestiżu w ramach wspólnoty, jednostka może jednak poszerzać zakres swojej wolności, zdobywając nowe możliwości działania. Sfera wolności jest jednak obwarowana koniecznością zapewnienia wspólnocie stabilności i ciągłości. Jednostki powinny dobrowolnie rezygnować ze swojej wolności negatywnej, czyli niezależności od wpływu otoczenia i wspólnoty na ich wolność wyboru, a także ze swojej ekspansywności, w imię spokojnego i harmonijnego rozwoju społeczności, uzyskując w zamian szereg uprawnień wynikających z faktu przynależenia do wspólnoty. Ordoliberalizm proponuje więc pozytywną koncepcję wolności, uzgodnionej z moralnym imperatywem wzięcia pod uwagę przede wszystkim interesów dobra wspólnego, nie własnych. Postuluje silne państwo, które ma w ręku wszelkie mechanizmy potrzebne do ochrony stabilności struktury społecznej.

Mało miejsca, jak na myśl liberalną, w programie społecznym ordoliberalizmu zajmują indywidualizm, pluralizm społeczny czy spontaniczność aktywności ludzkiej. Podporządkowanie swobody wyboru jednostek wymogom zachowania stabilnej struktury społecznej i dobru wspólnemu nastąpiło pod wrażeniem sukcesu totalitaryzmów. O liberalnym charakterze analizowanego nurtu świadczy jednak to, iż nie domaga się on przymuszania jednostek do wyrzeczenia się aktywności skoncentrowanej na indywidualne potrzeby i podporządkowania się tradycyjnej moralności, lecz tylko postuluje promowanie postawy, która prowadziłaby jednostki ku temu w sposób dobrowolny. Wraz z ewolucją sytuacji politycznej, ordoliberalizm odstąpił od najbardziej radykalnych postulatów silnego państwa, opowiadając się za klasyczną koncepcją demokratycznego państwa prawa i społeczną gospodarką rynkową, aktywnym rozwojem doktryny wspólnoty obywatelskiej i wspólnoty wartości (demokratycznych i odnoszących się do chrześcijańskiej koncepcji osoby ludzkiej, jej przyrodzonej godności i praw człowieka), ale także pozostawiającej miejsce dla wolnego wyboru jednostki, która ma prawo obrać bardziej indywidualistyczną drogę życiową. ●



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w *Liberté!*. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

KAPITULACJA

TOMASZ KASPROWICZ

Zamiast zatem wykorzystać ostatni moment oddechu przed nadchodzącymi (i znanymi) kłopotami i uzdrowić państwo PiS rzucił ręcznik na ring i powiada: „Nie potrafimy”.

Kampania wyborcza rozpoczęła się w tym roku wcześniej. Przygotowane przede wszystkim na wybory parlamentarne obietnice PiS trzeba było znacząco przyspieszyć by zniwelować skutki szeregu afer korupcyjnych wstrząsających szczytami partii władzy. Afera KNF uderzyła pośrednio w głównego finansistę Porozumienia Centrum, a dziś prezesa NBP Adama Glapińskiego, dodatkowo poturbowanego aferą dotyczącą wysokich wynagrodzeń jego najbliższych współpracowników. Afera Srebrnej uderzyła bezpośrednio w prezesa Kaczyńskiego, odzierając go z wizerunku niezaradnego ekonomicznie polityka dumającego jedynie nad przyszłością Polski. Okazał się twardym i potencjalnie niezbyt uczciwym biznesmenem. PiS stwierdził zatem, że warto sięgnąć po sprawdzone środki i obiecać elektoratowi gotówkę, ten zaś w przypiływie wdzięczności zapomni mu wszystko, co złe.

Padły więc – dość nieoczekiwanie dla samego obozu rządzącego, z minister finansów Teresą Czerwińską na czele – konkretne obietnice i jedna dość mętna. Pokróćce są to: rozszerzenie 500+ na pierwsze dziecko, podniesienie ryczałtowego kosztów uzyskania przychodów dla zatrudnionych na umowę o pracę, zwolnienie z podatku dochodowego osób do 26 roku życia, 13. emerytura oraz przywrócenie połączeń autobusowych na prowincji. Pierwsze trzy są dość oczywiste – gotówka do ręki. 13. emerytura dość podobnie – tyle, że do końca nie wia-

domo czy to będzie świadczenie jednorazowe, czy cykliczne. Obecna ustawa mówi o wypłacie jednorazowej, ale politycy PiS półgębkiem zapewniają o jego kontynuacji w razie zwycięstwa. Zresztą opozycja też deklaruje, że raz danego przez PiS świadczenia nie wycofa.

Co ciekawe obietnice olbrzymich transferów nie miały prawie żadnego wpływu na preferencje wyborcze, sondaże właściwie nie drgnęły. Można to interpretować dwojako. Po pierwsze jako skuteczne zagranie, które zniwelowało spadki wywołane potężnymi aferami i wyraźną utratą sterowności. Po drugie jako dowód zabetonowania się elektoratów, których do zmiany zdania nie przekonają ani afery z jednej, ani transfery z drugiej strony. To, która z interpretacji jest prawdziwa może zaważyć na wyniku wyborów. Jeżeli pierwsza, oznacza to szansę dla opozycji: PiS wystrzelał się już z amunicji i więcej obietnic w takiej skali nie będzie, a co za tym idzie coraz trudniej będzie przykrywać afery i zużywanie się władzy. Jeżeli druga, to wynik wyborczy właściwie już znamy co też dla PiS nie jest zbyt komfortowe, bo pomimo zwycięstwa partia ta może mieć kłopot ze skonstruowaniem koalicji.

Skutki ekonomiczne piątki Kaczyńskiego są poważne. Koszt całości szacowany jest na około 45 mld rocznie. To dużo, ale w dobrych czasach do udźwignięcia przez budżet. Czy zatem nie ma problemu? Jest ich kilka. Po pierwsze obowiązuje nas reguła wydatkowa ograniczająca

wzrost wydatków państwa. Już bez piątki Kaczyńskiego dało się zauważyć, że przyszłoroczny budżet – ze względu na wzrost wydatków sztywnych – będzie miał problem z jej spełnieniem. Pozwalała ona na wzrost wydatków o około 40 mld, a wzrost wydatków sztywnych (czyli trudnych do obniżenia) przewidywano na

PiS wystrzelał się już z amunicji i więcej obietnic w takiej skali nie będzie, a co za tym idzie coraz trudniej będzie przykrywać afery i zużywanie się władzy

70 mld – co było problematyczne samo w sobie i wymuszało spadek wydatków w pozycjach bardziej zależnych od rządu takich jak inwestycje. Dołożenie do tego 45 mld z „piątki”, zgodnie z obowiązującym prawem, czyni realizację tego programu niemożliwym. Cóż, prawo to tylko papier i PiS-owi wystarczy jeden wieczór by je zmienić. Okonem staje minister finansów Teresa Czerwińska, która chce utrzymania reguły wydatkowej i próbuje zmuszać resorty do ograniczania wydatków. Napięcia są jednak tak silne, że przewidywane jest odejście nawet Czerwińskiej i zastąpienia jej kimś bardziej elastycznym. Wśród kandydatów pojawia się dzisiejszy wiceminister Leszek Skiba – odsunięty przez Czerwińską od sprawowania kontroli nad Departamentem Polityki Makroekonomicznej (jedynego miejsca gdzie reguła wydatkowa

mogłaby być naciągnięta przez manipulowanie statystykami). Niewykluczone jest też przejęcie kontroli nad ministerstwem bezpośrednio przez Mateusza Morawieckiego. Sama rozszada przesuwają się jednak by odejście minister finansów nie zostało odebrane jako wyraz niepewności co do wydolności finansowej państwa.

O ile regułę wydatkową łatwo zmienić jedną ustawą (wywołując przy tym zapewne niewielkie zawirowanie na rynku obligacji i ryzykując obniżenie ratingu) to problemem pozostaje kwestia poziomu deficytu do PKB dla wszystkich krajów UE ustalona na poziomie 3%. Przekroczenie tej wartości skutkuje objęciem kraju procedurą nadmiernego deficytu, który poważnie ogranicza swobodę rządu w samodzielnym prowadzeniu polityki. I o ile obecnie szczytujemy się najniższym w historii poziomem deficytu do PKB na poziomie około 0,5%, to same wydatki związane z „piątką” jeszcze w tym roku mogą go podnieść nawet do 3% – i to nawet wedle oficjalnych prognoz rządowych. Jeśli koniunktura się utrzyma deficyt może być nieco niższy i w tym roku powinniśmy się prześliznąć pod progiem – być może nawet ze sporym zapasem. Kolejne lata będą jednak

trudniejsze – wedle MFW nasz deficyt w latach 2020-2024 ma przekroczyć 3% PKB. Najbardziej niepokojące jest jednak to, że ledwie mieścimy się w limitach na szczycie koniunktury.

Cieszymy z deficytu do PKB na poziomie 0,5% kiedy przytłaczająca większość naszych partnerów kolejny rok z rządu odnotowuje nadwyżki budżetowe pozwalające budować poduszkę



bezpieczeństwa na trudniejsze czasy. Pierwsze uderzenie ma złagodzić drugi rozbiór OFE – tym się różniący od tego przeprowadzonego przez PO, że dotyczy zagarnięcia na bieżące potrzeby budżetowe realnych oszczędności, kiedy poprzedni był jedynie swego rodzaju prześięgowaniem sztucznie poprawiającym statystyki. Zresztą amortyzacja zadziała tylko na początku, w kolejnych latach będzie znacznie trudniej, szczególnie, że jakiegokolwiek spowol-

Tymczasem okazało się, że PiS jest w stanie skutecznie przeprowadzać tylko dwa rodzaje zmian: czystki personalne i rozdawanie gotówki do ręki. Niemal wszystko inne kończy się niewypałem lub malowniczą katastrofą

nienie gospodarcze, już nie wspominając o kryzysie, mogą zapewnić nam błyskawiczny kryzys finansów publicznych.

Warto rozpatrzyć tę sytuację w kontekście szerszym niż jedynie finansowym. Jednym z trafionych elementów poprzedniej kampanii PiS było mówienie o tekturowym państwie. Rzeczywiście, PO skupiając się na temperaturze wody w kranie zapomniała o tym, że wiele funkcji i instytucji państwa po prostu kuleje lub nie funkcjonuje prawidłowo. Dało to PiS amunicję do podporządkowania sobie sądów, bazując na niezadowolaniu co do ich działania, w szczególności

czasu trwania procesów. Oczywiście wymiana osobowa niczego nie naprawiła, a idący za nią chaos pogorszył sytuację i czas rozstrzygnięcia spraw wzrósł zamiast zmaleć, ale PiS swój polityczny cel (niemal) osiągnął. Budowa silnego państwa miała być przecież podstawą rządów tej formacji.

Tymczasem okazało się, że PiS jest w stanie skutecznie przeprowadzać tylko dwa rodzaje zmian:

czystki personalne i rozdawanie gotówki do ręki. Niemal wszystko inne kończy się niewypałem lub malowniczą katastrofą. Najlepszy przykład to reforma edukacji, która PiS-owi wybuchnie w twarz jeszcze przed wyborami, ale lista jest dłuższa: mieszkanie plus, zakupy dla wojskowości, elektromobilność, plan Morawieckiego (stopa 25% inwestycji w PKB). Okazuje się, że PiS nie jest w stanie przeprowadzić działań poza absolutnie najprostszymi. To właśnie punkt, w jaki zdecydowanie powinna uderzyć przed wyborami opozycja. Odbudowa państwa to jedna z najważniejszych niespełnionych obietnic PiS-u. Co gorsza wiele z tekturowych fasad – pomi-

mo budżetowej bonanzy – przez ostatnie kilka lat mocno zamokło. Już dziś wszyscy odczuwają zapaść służby zdrowia, pogłębiającą się pomimo zwiększenia środków wymuszonego przez lekarzy rezydentów (jedyne skuteczny protest branżowy w tej kadencji). Starzejąca się populacja to podwójne kłopoty dla służby zdrowia: po pierwsze odejścia lekarzy i pielęgniarek na emeryturę, po drugie większa liczba pacjentów z cięższymi i przewlekłymi schorzeniami. Tymczasem polska geriatra właściwie nie istnieje – mamy tylko 430 lekarzy tej specjalności i 900 łóżek szpitalnych. System emerytalny podlegać też będzie z każdym rokiem coraz większym napięciom, szczególnie po obniżeniu wieku emerytalnego i planowanej kolejnej rozbiórce OFE. W najbliższych dwóch dekadach obciążenie osób pracujących utrzymaniem emerytów podwoi się. Do tego dochodzą nierozwiązane problemy z sądownictwem, edukacją, szkolnictwem wyższym, transportem kolejowym i wieloma innymi.

Zamiast zatem wykorzystać ostatni moment oddechu przed nadchodzącymi (i znanymi) kłopotami i uzdrowić państwo PiS rzucił ręcznik na ring i powiada: „Nie potrafimy”. Zamiast zapewnić

emerytom opiekę długookresową i dostęp do lekarzy dał im 1100 zł rocznie dodatkowej emerytury i za te pieniądze mają sobie zapewnić tę opiekę sami, co jest oczywiście finansowo niemożliwe. Te pieniądze satysfakcjonują emerytów, kiedy widzą je w portfelu, ale podobająby się im znacznie mniej gdyby dowiedzieli się, że przez nie mogą nie doczekać wizyty u specjalisty. To samo tyczy się rodziców, którzy mają za 500+ zapewnić swoim dzieciom edukację, bo ta państwowa ciągnie jeszcze tylko na nauczycielskim etosie (podobnie jak ledwie dysząca ochrona zdrowia na etosie lekarskim, pielęgniarskim, ratowników medycznych). Wielkie transfery społeczne PiS mają bowiem swój koszt w postaci dalszego osłabiania, czy wręcz likwidacji funkcji państwa. Ten wyraz indolencji to największa akcja prywatyzacji od czasów Balcerowicza, zasadniczo różniąc się jednak od tej z początku lat 90-tych. Balcerowicz prywatyzował to czym państwo zajmować się nie powinno (a to co zostało po dziś dzień jest łupem polityków), Kaczyński prywatyzuje podstawowe funkcje państwa. ●



DR TOMASZ KASPROWICZ

Wiceprezes Fundacji Res Publica, członek redakcji Res Publica Nowa i *Liberté!*, wykładowca akademicki z doświadczeniem na trzech kontynentach, przedsiębiorca działający w branży IT.

TOO GOOD TO BE TRUE?

Z MARTYNĄ SZTABĄ ROZMAWIA
AGNIESZKA KOŻAŃSKA

Agnieszka Kożańska: „Too good to be true” – powiedział o twoim najnowszym pomysle na biznes Artur Kurasiński, znany w środowisku promotor start-upów. **Czy faktycznie pomysł jest aż tak dobry?**

Martyna Sztaba: To czy pomysł jest dobry nie jest w start-upach najistotniejsze. Najważniejsze jest to czy zostanie on zrealizowany, wdrożony i wreszcie czy ktoś z tego rozwiązania skorzysta. Cieszę mnie słowa Artura, bo uważam, że to jest najlepsze połączenie, kiedy start-up oprócz solidnego modelu biznesowego ma także do spełnienia dodatkowy cel jakim jest rozwiązanie ważnego problemu czy to społecznego, czy związanego z powstrzymaniem zmian klimatycznych, a w tym konkretnym przypadku z odpadami.

W swoim życiu zawodowym zajmowałaś się już kulturą, gastronomią, PR-em, wydawaniem książek. Teraz przyszedł czas na technologie. Próbuje znaleźć między wszystkimi tymi aktywnościami jakąś wspólną nić, myśl przewodnią. Powiedz proszę czy taka istnieje.

Nie we wszystkim jest pewnie wspólny mianownik, czasami robisz konkretne rzeczy, żeby po prostu się czegoś nauczyć. Ale te największe przedsięwzięcia, przynajmniej w moim przypadku, łączy ze sobą właśnie chęć zmiany czy to zastanego status quo jak w literaturze, czy w gospodarce obiegu zamkniętego jak w oponach i w Syntoilu.

Na zagospodarowaniu zużytych opon – czyli temacie, który zaprzęta cię teraz najbardziej – zarabia już wielu. Po przetworzeniu produkuje się z nich m.in. nawierzchnie sportowe. Jak daleko idzie wasz pomysł? Co jeszcze chcecie z tego materiału wyciągnąć?

Większość zużytych opon, a jest to naprawdę olbrzymia ilość, bo na świecie generujemy około miliarda zużytych opon rocznie, jest poddawana recyklingowi energetycznemu. To jest bardzo eleganckie określenie na to, że po prostu spala się je w cementowniach. Pozostałą część ludzie starają się wykorzystywać w różny sposób, między innymi przerabiając na granulaty gumowy do budowy boisk sportowych czy dróg. Jeszcze innym rozwiązaniem jest przetwarzanie ich w procesie pirolizy. Sama piroliza oznacza po prostu przetwarzanie pod wpływem temperatury bez dostępu tlenu, czyli nie ma tu mowy o spalaniu, w uproszczeniu możemy mówić raczej o rozpadzie podczas podgrzewania. Natomiast do tej pory piroliza była stosowana bardzo tradycyjnym wydaniu, który nazywamy pirolizą batchową czy przerywaną, i kiedy trzeba otworzyć reaktory, żeby je załadować albo wyładować. My opracowaliśmy zupełnie inny proces, który nazywamy pirolizą ciągłą – nie otwieramy reaktorów, jakość produktów jest dużo lepsza, a sam proces jest znacznie bardziej zrównoważony i działa w ramach zero-waste. W naszej technologii musieliśmy się zmierzyć z wieloma problemami działających obecnie systemów, a przede

wszystkim z wyzwaniem biznesowymi i technologicznymi.

To czym się faktycznie zajmujemy to przywrócenie produktów powstałych z rozpadu opon ponownie do produkcji gumy, używając do tego sadzy, która jest potem stosowana w produkcji jako napętniacz, oraz oleje, które również mogą być wykorzystane w produkcji gumy.

Niedawno mieliśmy całą serię pożarów składowisk opon. Co wtedy „widziałaś”: toksyczną chmurę, czy raczej płonące pieniądze?

Widziałam przede wszystkim duży problem systemowy jaki mamy w Polsce z odpadem gumowym i odpadami w ogóle. To pokazuje, że coś jest nie tak, skoro ludziom bardziej opłaca się je nielegalnie spalić, niż poddać recyklingowi, przywrócić do produkcji. Bo powinno być zupełnie odwrotnie.

Mówisz o gospodarce cyrkularnej, twoja instalacja jest samowystarczalna energetycznie. Co napędza innowacje w – ujmę to szeroko – ochronie środowiska: zysk czy wartości?

Ja po prostu trochę nie wierzę, że zmiany w przemyśle i biznesie nastąpią tak po prostu, nawet jeżeli sytuacja na świecie będzie krytyczna, chociaż pewnie już jest. Biznes i przemysł, musiałyby zobaczyć w tym odpowiedni zysk dla siebie, albo musiałyby wejść odpowiednie regulacje. W to drugie dzieje się zdecydowanie zbyt wolno. Ja jestem z zupełnie innego pokolenia niż większość przedsiębiorców w przemyśle, dla mnie to jest absolutnie oczywiste, że zysk i wartości idą w parze i dzisiaj nie widzę innego wyjścia. Mam też inne potrzeby. W ostatnim „Forbesie” był wywiad z Markiem Piechockim, właścicielem LPP. Powiedział w nim, że „żadna kobieta nie chce wyglądać tak samo jak jej koleżanka, a tym bardziej jak chiński żołnierz”.

Tymczasem dla mnie to jest obojętne jak wyglądam, mam w szafie kilka mundurków, identycznie wyglądających rzeczy, które noszę dopóki nie są zniszczone. Cała kultura konsumpcjonizmu, ciągłego nabywania mnie nie dotyczy i mam nadzieję, że nigdy nie dotknie. Wyrosłam w kulturze ciężkiej pracy, jestem świadomą obywatelką, która wie, że brednie w stylu „Musisz wstawać o 4 rano, być na keto diecie i czytać odpowiednie książki to odniesiesz sukces” po prostu nie są prawdziwe. Robię to co robię nie tylko dlatego, że dużo i ciężko pracuję, ale przede wszystkim za sprawą pewnego uprzywilejowania społecznego: ktoś zapłacił za moją edukację, ktoś mnie wychował w kulturze biznesu i nie znam innego życia, ani innego języka. W przeciwieństwie do liberalnych przedsiębiorców wcale nie uważam, że wszystko zawdzięczam sobie. Ktoś zbudował drogę po której jeżdżę, ktoś zapłacił za moje szczepionki jak byłam dzieckiem, wszyscy Polacy i Polki w swoich podatkach złożyli się na moją „darmową” edukację. I teraz ja mogę im to oddać w podatkach, w pozytywnym wpływie na środowisko jaki ma projekt, który realizuję wraz z zespołem.

8 kwietnia wystartował plebiscyt w konkursie Chivas Venture, w którym SyntOil

zwyciężył etap lokalny, ogólnopolski. Dzięki głosowaniu publiczności możesz w nim zdobyć 50 tys. USD. Co zrobisz, żeby twoja opowieść o granulacie z gumy oraz o korzyściach z sadzy była nie tylko atrakcyjna biznesowo, ale i popularna?

Opowiadam o nim w sposób, jaki jest dostępny i zrozumiały dla wszystkich ludzi, nie tylko dla branży i chemików. Widzę, jakie korzyści przyniosło mówienie o plastiku i problemie z tworzywami sztucznymi – jeżeli ludzie rozumieją problem to mogą zareagować. I mam nadzieję, że zareagują - bo zmiany klimatyczne są faktem i najważniejszym zadaniem naszej cywilizacji jest ich powstrzymanie. Jeżeli ktoś nie wierzy mi, to polecam lekturę książek i tekstów Marcina Popkiewicza, fizyka, naukowca, który zajmuje się zmianą klimatu i w bardzo przystępny sposób tłumaczy jak znaleźliśmy się w tym miejscu i co należy zrobić. Sama też staram się dołożyć moją cegiełkę edukacyjną w tym temacie. Razem z Anną Piętą prowadzimy podcast Muda Talks, gdzie zapraszamy ekspertki i ekspertów z dziedziny *sustainability* i *circular economy*, żeby opowiedzieli w najprostszym możliwym sposobie o dzisiejszym punkcie krytycznym, w którym się znaleźliśmy. ●

MARTYNA SZTABA

Rocznik 1984. Co-founderka i CEO w clean-techowym startupie Syntoil. Pracowała dla firm technologicznych, startupów i klientów korporacyjnych w obszarach zarządzania, komunikacji i budowania produktów tech. Była redaktorką naczelną pierwszego pisma dla kobiet w całości poświęconego technologiom „IT GIRLS” (Agora, 2017). Aktywnie działała w obszarze kultury, m.in. od 2004 roku związana z Korporacją Ha!art, a w latach 2007-2009 szefowa tego wydawnictwa. Od 2012 roku publikuje teksty dot. sztuki, biznesu i technologii w „Gazecie Wyborczej”, „Wysokich Obcasach” i „Przekroju”.

Fot. materiały prasowe Syntoil



AGNIESZKA KOZAŃSKA

Współpracowniczka redakcji *Liberté!*.

WSZYSTKO ZOSTAJE W TYLE – SZYBKĄ KOLEJĄ PRZEZ PEJZAŻ ANTROPOCENU

DAWID JURASZEK

Miarą antropocenu jest beton. Pod względem powszechności wykorzystywania, jako substancja beton jest na drugim miejscu, po wodzie, wagowo zaś jest go już więcej, niż wszystkich drzew i krzewów razem wziętych.

Lata temu widziałem reportaż BBC na temat budowania w Chinach mostów: rekordowo wysokich, łączących górskie szczyty ponad przyprawiającymi o zawrót głowy przepaściami, pod wieloma względami przełomowych. Brytyjski reporter przejawiał niezdrową fascynację kwestią rozmiaru, powtarzając raz po raz *Zheme chang?! Zheme da!?* (Taki długi? Taki duży?), gdy przepytywani podawali mu gabaryty tego czy owego mostu. Znajomości chińskiego nie starczyło mu już na tyle, by zadać jakieś trudniejsze pytania. A byłoby o co pytać. Tłumacząc zamorskiemu przybyszowi, jak to chińska pracowitość i pomysłowość pomogła rozwiązywać niespotykane dotąd wyzwania technologiczne, jeden z inżynierów opisał uprzykrzone górskie jaskinie, które, aby stabilnie umocować filary mostu, trzeba było zalać betonem. Powtórzę..Jaskinie. Zalać betonem. Jedne z najstąblej poznanych ekosystemów, gdzie unikalne gatunki dają wgląd w ewolucyjną historię życia. Zalać betonem. Może warto było chociaż zapytać, czy naukowcy mieli możliwość zbadać te miejsca przed ich nieodwracalnym unicestwieniem?

Takie myśli chodziły mi po głowie podczas zimowego objazdu Chin szybką koleją, gdy dzieci biegały w tę i w tę po wagonie, od sąsiednich foteli dobiegał aromat zupek instant (każdy pociąg wyposażony jest w dystrybutor wrzątku) oraz gwar z odtwarzanych na smartfonach seriali, a ja patrzyłem za przemykające za oknem pejzaże. Nie była to moja pierwsza objazdowa

wyprawa po Chinach, ale w pewnym sensie nie miała precedensu: podczas wcześniejszych nie zdawałem sobie jeszcze sprawy ze skali antropocenu. I to przez pryzmat wiedzy o dogłębnych przemianach, jakie rozpętałyśmy na planecie Ziemia, patrzyłem teraz na widok za oknem.

Garść twardych danych: w ciągu pięciu tygodni na pokładzie dwunastu szybkich pociągów CRH przejechałem 6328 km (oraz w dwóch pociągach zwykłych 1987 km), zataczając bardzo powyginaną pętlę od Kantonu na południu ku Szanghajowi na wschodzie, potem na zachód i północ ku Żółtej Rzece, następnie ku prowincjom Syczuan i Yunnan na południowym zachodzie, i z powrotem do Kantonu. Jeszcze kilka lat temu – nie mówiąc już o latach kilkunastu – taka podróż wyglądałaby inaczej i trwałaby znacznie dłużej. CRH umożliwia przejazd przez kilka prowincji w ciągu jednego poranka czy popołudnia, podczas gdy jadąc zwykłym pociągiem trzeba przygotować się na całą wyprawę. Przykład: podróż z Kantonu do Szanghaju (zależnie od trasy ok. 2000 km) szybkim pociągiem (zależnie od kategorii ok. 200 lub 300 km/h) zajmuje siedem-osiem godzin, zwykłym zaś nawet prawie całą dobę.

W okolicach Chińskiego Nowego Roku setki milionów Chińczyków wracają z miast, gdzie pracują i studiują, do rodzin. Były to, i często nadal są, prawdziwe odyseje – sam kilka lat temu podczas świątecznego sezonu spędziłem w pociągu

z Urumqi w Xinjiang do Kantonu (ponad 4600 km) prawie 50 godzin – ale teraz wielu pasażerów jest w stanie odbyć podróż w ciągu jednego dnia. I pomimo sarkania na drogie bilety odbywa: w tym roku w ciągu czterech zimowych tygodni z szybkiej kolei skorzystało prawie 60 procent populacji. Już w tej chwili chińska sieć CRH jest rekordowo długa, licząc prawie 30 tysięcy kilometrów – ponad dwie trzecie długości sieci wszystkich szybkich kolei na świecie – i nadal się rozrasta.

Wielokilometrowe tunele przewiercają góry na wskroś. Dzieło rąk ludzkich dopełnia, a czasem przewyższa piękno natury – zwłaszcza na reklamowych filmikach i dobranych fotografiach

Rozmawiając o chińskich inwestycjach infrastrukturalnych łatwo dać się ponieść gigantomańskiej retoryce (vide cytowane wyżej zachwyty reportera BBC). Gmachy dworców szybkiej kolei, często wznoszone w nowych dzielnicach na przedmieściach, imponują rozmachem. Smukłe białe składy pędzą z ogromną prędkością po strzelistych wiaduktach. Śmiałe mosty pokonują rozlewiska rzek. Wielokilometrowe tunele przewiercają góry na wskroś. Dzieło rąk ludzkich dopełnia, a czasem przewyższa piękno natury – zwłaszcza na reklamowych filmikach i dobranych fotografiach.

Ale widok przez okno pędzącego pociągu pokazuje coś innego – skalę podporządkowania krajobrazu potrzebom jednego gatunku, i jednej narracji w obrębie tegoż gatunku. Kolej otwiera nowe tereny dla nienasyconej maszyny obecnego modelu rozwoju. Godzina za godziną, prowincja za prowincją, nie ma wytchnienia od niekończących się ciągów magazynów, pól uprawnych, rzędów ciepłarni, zabudowań fabrycznych, kamieniołomów, linii przesyłowych rozpiętych nad górami i równinami, oraz betonu,

betonu, betonu. Czasem gdzieś pośród tego mignie przecięta torami wpół stareńka wioska, by zaraz zostać w tyle. Bezpowrotnie.

W tle widać też czasem wiatraki, symbol zielonej energii podtykany do znużenia pod nos we wciąż jednak napędzanych głównie węglem Chinach. Bardzo zasobochłonny to symbol: beton, stal, rzadkie metale do turbin. Na dodatek, a może przede wszystkim, obszaro- i krajobrazożerczy. Jest coś groteskowego w radosnym promowaniu wiatraków, podczas gdy zagarniają całe górskie, równinne i morskie krajobrazy, wypalając na nich piętno potrzeb i zachcianek



Fot. Dawid Juraszek

jednego gatunku. Są mniejszym złem, tragiczną koniecznością antropocenu, w który się zapędziliśmy i od którego się uzależniliśmy.

Czy mniejszym złem są także koleje? Emisje dwutlenku węgla w przeliczeniu na pasażera pociągu są niższe niż pasażera samolotu – w tym sen-

sie jazda pociągiem jest mniej destrukcyjna niż lot samolotem. Ale betonowa infrastruktura też jest źródłem CO₂, i to niebagatelnym: produkcja cementu odpowiada za 8% globalnej emisji gazów cieplarnianych, i sama w sobie jest w stanie wykoleić ambitne cele Porozumienia Paryskiego. W epoce antropocenu problemem nie są



Fot. Dawid Juraszek

jednak tylko same emisje gazów cieplarnianych. Lotniska, choć rozległe, to tylko punkty na mapie w porównaniu z niekończącymi się pasmami betonu, asfaltu i stali, po których jeździmy pociągami, autokarami i samochodami. To ich budowa i eksploatacja odpowiada za nieodwracalną ingerencję w przyrodę i krajobraz, wysadzając, przekopując, wycinając, zasypując i pokrywając niezmierzone przestrzenie. Istnieje w ludzkiej naturze dogłębne przekonanie, że jeśli gdzieś jest wolny kawałek ziemi, to stanowi nieużytek i mamy święte prawo wbić łopatę, wgrzyźć się koparką, zalać betonem, werżnąć się pługiem,

pułapie dziesięciu tysięcy metrów. Niestety problemem jest transport sam w sobie, napędzany naszym niekompatybilnym ze współczesnymi realiami instynktem przemieszczania się, modelem gospodarki działającym na zasadzie „ruch jest wszystkim”, i marnotrawstwem przestrzeni, sprawiającym, że wszędzie mamy daleko. Codzienna tułaczka samochodami, autobusami, nawet metrem między miejscem zamieszkania i pracy, powroty na święta z odległych miast, szukanie pracy w innych krajach i na innych kontynentach (tu biję się w piersi) – to wszystko kosztuje, i to bardzo słono.

Kiedy w Chinach budowano końcem XIX wieku pierwsze koleje, miejscowi protestowali, powołując się na niszczycielski wpływ *huoche*, czyli „ognistego pojazdu”, na warunki *feng shui* otoczenia

zaryczeć piłą tańczuchową. A wszystkie inne gatunki muszą się zadowolić skąpo wydzielanymi „obszarami chronionymi” o statusie podlegającym rewizji, jeśli będzie tego wymagać polityka czy gospodarka. Świeży przykład: indyjskie władze zatwierdziły niedawno przebieg trasy nowej szybkiej kolei przez park narodowy i rezerwat flamingów pod Mumbajem.

Przesiadając się do pociągu można mieć poczucie ekologicznej wyższości nad pasażerami na

Miarą antropocenu jest beton. Pod względem powszechności wykorzystywania, jako substancja beton jest na drugim miejscu, po wodzie, wagowo zaś jest go już więcej, niż wszystkich drzew i krzewów razem wziętych. Według aktualnych trendów urbanizacji, w ciągu najbliższych czterech dekad wybudujemy 230 miliardów metrów kwadratowych, czyli ekwiwalent Paryża co tydzień. Po wyburzeniu większość gruzu idzie na śmietnik, a nienasycone betoniarce napętnia się piaskiem z jezior, rzek i plaż, bez oglądania się

na związane z tym ekobójstwo i przestępczość. Niech się mury pną do góry, niech kominy mają pion!

Chiny co dwa lata wylewają większą ilość betonu, niż USA przez cały XX wiek. Sieć szybkich kolei – oraz autostrad i ogółem cała infrastruktura transportowa – ma w tym spory udział. Kiedy w Chinach budowano końcem XIX wieku pierwsze koleje, miejscowi protestowali, powołując się na niszczycielski wpływ *huoche*, czyli „ognistego pojazdu”, na warunki *feng shui* otoczenia. Łatwo kiwać z politowaniem głową nad takimi przesadami, ale oby śmiech wyższości nie zamarł nam w gardle. Cytowany przez *The Guardian* wpływowy chiński architekt Yu Kongjian wskazuje na to, jak beton dławi ekosystemy – żywną glebę, samooczyszczające się rzeki, stawiające opór sztormom mangrowce, zapobiegające powodziom lasy – które składają się na ekobezpieczeństwo. Władze powtarzają zgrabne hasła o harmonii z naturą i „cywilizacji ekologicznej”, obywatele w badaniach opinii publicznej wyrażają zatroskanie o stan środowiska, a tymczasem

maszyna krótkowzrocznego rozwoju kręci się w najlepsze, smarowana psychologicznymi słabościami *homo sapiens*.

W podróżowaniu szybką koleją jest jakaś metafora o nas samych i o świecie, który tworzymy, czy raczej przetwarzamy. Mijamy coś w pędzie, widzimy przez mgnienie, ale zanim zdążymy się przyjrzeć, już przemija i znika w tyle, a przed oczyma pojawia się nam coś nowego, i znów tylko na mgnienie, by bezpowrotnie zniknąć. Nawet, jeśli strzelimy fotkę na pamiątkę, jest tylko bladą namiastką. To zaś, co zostaje w tyle, już nie wróci.

By nadać antropocenowi jakiś głębszy sens, czegoś się zeń o nas samych nauczyć, trzeba go kontemplować, debatować, krytykować. Tego się nie robi, oglądając serial na ekranie smartfona, gdy za oknem niewidziane przemykają obrazy poświęceń, do jakich zmuszamy Ziemię, by móc prędzej przemieścić się z jednego betonowego miasta do drugiego. ●



DAWID JURASZEK

Pisarz, poeta, publicysta, wieloletni wykładowca w chińskim szkolnictwie wyższym. Absolwent filologii angielskiej, przywództwa w oświacie, stosunków międzynarodowych i zarządzania środowiskiem. Publikował m.in. w *Polityce*, *Gazecie Wyborczej*, *Newsweeku Polska*, *Krytyce Politycznej*, *Poznaj Świat* i *Hałarcie*, a także w amerykańskiej i brytyjskiej prasie literackiej. Współpracownik Instytutu Studiów Azjatyckich i Globalnych im. Michała Boyma (wcześniej: Centrum Studiów Polska-Azja).

„Tak umierają demokracje”

Dwa lata temu książka tego typu nie powstałaby: dwójka wiodących politologów, ekspertów w zakresie kryzysów demokracji w różnych częściach świata, wykorzystuje swoją wiedzę do tego, by uświadomić Amerykanom zagrożenia, przed jakimi obecnie stoi ich własny system polityczny.

Francis Fukuyama

Levitsky i Ziblatt to wiodący badacze systemów demokratycznych, opisują przykłady z wielu zakątków świata, z ogromnym zapalem i uczciwością wykorzystują swoją wiedzę do analizowania bieżących problemów, z jakimi borykają się Stany Zjednoczone. (...) Dzięki temu Czytelnik nie tylko odczuwa intelektualne podekscytowanie, lecz także jest świadom zawartej w tej książce politycznej przestrogi.

Timothy Snyder



BIBLIOTEKA LIBERTÉ!



Kup bezpośrednio: sklep.liberte.pl

LEWICA SZUKA SOJUSZNIKÓW

SŁAWOMIR DRELICH

Michael Walzer, *Lewica. Stare błędy, nowe wyzwania*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2018.

Michael Walzer nieszczególnie zaskakuje nas problemami, którym poświęca swoją ostatnią wydaną w języku polskim książkę, a także podejściem do wszystkich tych problemów. Niewątpliwie *Lewica. Stare błędy, nowe wyzwania* stanowi kontynuację rozważań, jakie polski czytelnik znalazł przede wszystkim w *Sporze o wojnę* (Warszawa 2006), *Moralnym maksimum, moralnym minimum* (Warszawa 2012) czy też w *Sferach sprawiedliwości. Obronie pluralizmu i równości* (Warszawa 2008). Nieustannie powracanie do tych problemów usprawiedliwia Walzer już w *Sporze o wojnę*, w którym wskazywał, że „toczące się spory, jak również szybkie tempo zmian politycznych, wymagają niekiedy skorygowania teorii”¹. W *Moralnym maksimum, moralnym minimum* dowodził, że „moralność jest gęsta od samego początku, jest zintegrowana kulturowo, w pełni wybrzmiewa i przejawia się jako rozmyta jedynie w szczególnych wypadkach, kiedy język zwraca się ku konkretnym celom”². Ciągłe ponawianie tych samych pytań filozoficznych i przywoływanie moralnych dylematów ma stanowić właśnie próbę porządzenia sobie z jednej strony – z tą immanentną bodajże „gęstością moralności”, z drugiej zaś – z jej „skonkretyzowanym rozmyciem”, którego doświadczamy stając wobec namacalnych

pragmatycznych celów. W swojej najnowszej książce Walzer stawia sobie pytania znacznie bardziej precyzyjnie, mniej filozoficznie, acz w tym samym stopniu będą to pytania moralne.

Zasadniczo w *Lewicy. Starych błędach, nowych wyzwaniach* Walzer stawia się w miejscu współczesnego – jak sam się określa – „człowieka lewicy”. Dla tych, którzy znają jego teksty, zarówno naukowe, jak i publicystyczne, nie jest to bynajmniej zaskoczenie. Udział Walzera w amerykańskiej debacie publicznej pozwala umieścić jego działalność w ramach nurtu określanego mianem *public philosophy*, celem którego jest propagowanie refleksji moralnej i filozoficznej wśród masowego odbiorcy. Działalność taką prowadzili bądź nadal prowadzą myśliciele różnych nurtów, jak chociażby Michael Sandel, Richard Rorty czy Ayn Rand. Walzer – jako zdeklarowany „człowiek lewicy” – zastanawia się więc, z kim współcześni „ludzie lewicy” powinni współpracować: „Kim są nasi towarzysze w innych krajach i jak możemy im pomóc? Jak powinniśmy traktować nierówności w społeczności międzynarodowej? Kiedy należy poprzeć użycie siły, a kiedy trzeba się mu przeciwstawić? Jak lewica, w większości świecka, powinna się odnieść do odrodzenia religijnego?” (s. 9). Walzer zdaje sobie sprawę, że wobec gwałtownych zmian zachodzących we współczesnym zglobalizowanym świecie, zmienia się również układ sił na scenie politycznej, a tym samym klasyczne sposoby definiowania lewicy i prawicy ulegają

zatarciu. Na scenie politycznej pojawiają się również ruchy, które – przynajmniej na poziomie deklaratywnym – starają się wykraczać poza tradycyjnie rozumiany bipolarny krajobraz politycznego audytorium. Wyzwaniem stają się nury i środowiska populistyczne, nacjonalistyczne czy ksenofobiczne, które w różnych częściach świata coraz częściej dochodzą do głosu. Pytania postawione przez Walzera mają stanowić asumpt do refleksji nad polityczną pragmatyką tych, którzy nadal utożsamiają się z socjaldemo-

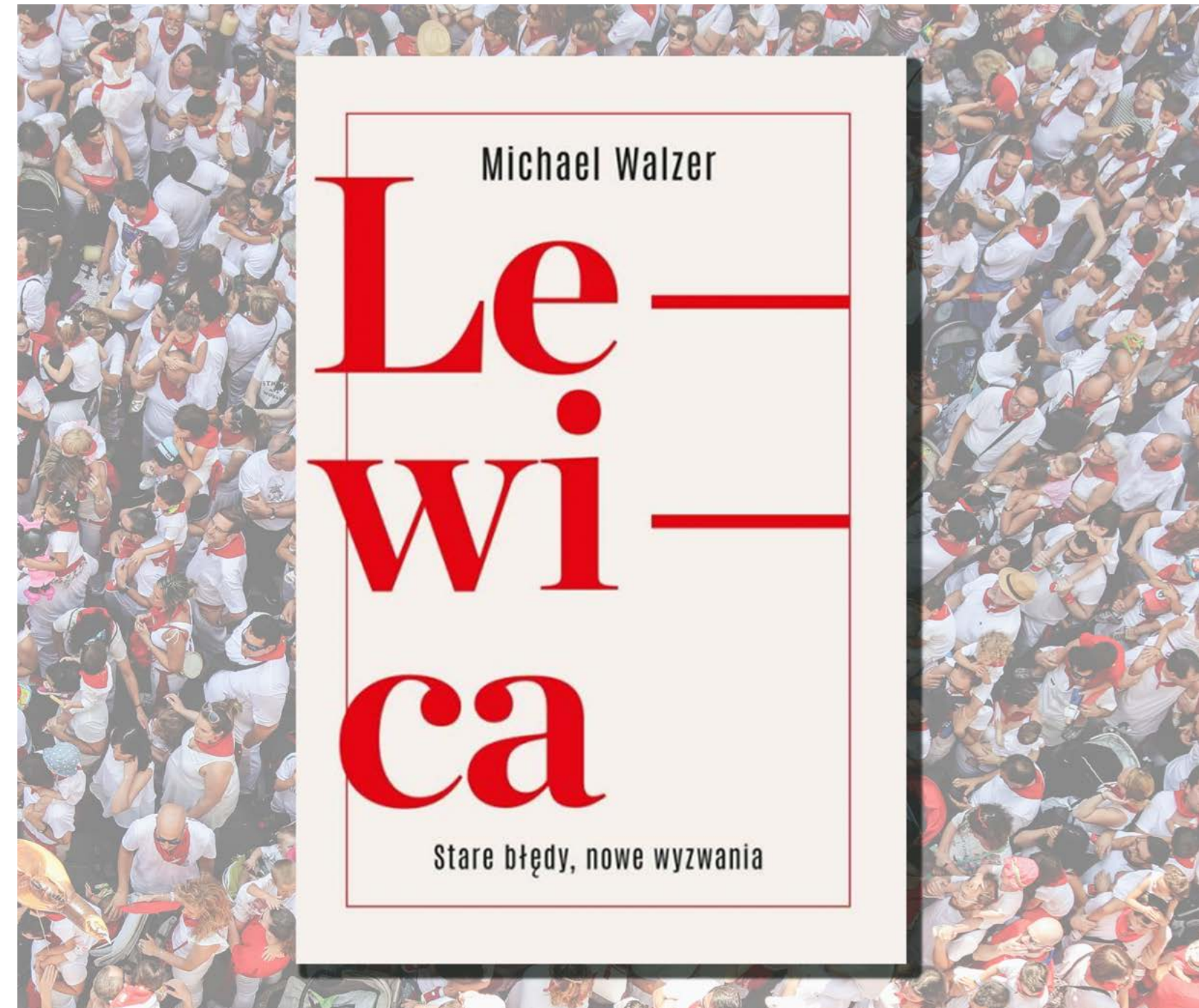
– tutaj z kolei powracają pytania o islam i fundamentalizm islamski. W każdym kolejnym eseju Walzer zarysowuje cele, jakie w kontekście wymienionych zagadnień przyświecać powinny lewicowcom, a także zagrożenia, jakie się wyłaniają w niniejszych kwestiach w realiach współczesności. Pokazuje tym samym te środowiska, z którymi współczesna lewica mogłaby współpracować, ale również tych, z którymi sojuszu ideowego bądź nawet pragmatycznego utworzyć się nie da. Przede wszystkim autor *Lewicy*

Przede wszystkim autor *Lewicy* podkreśla, że „naszymi towarzyszami są tylko ci mężczyźni i kobiety, którym bliskie są, tak jak nam, ideały wolności i równości”

kracją czy socjalizmem oraz socjalnymi odmianami myśli liberalnej.

Kwestii, na których skupia się Walzer, jest właściwie pięć: (1) problem wojny sprawiedliwej, czyli tzw. interwencji humanitarnej; (2) idea amerykańskiej hegemonii światowej czy też pytanie o status ontyczny amerykańskiego imperium; (3) zagadnienie sprawiedliwości na poziomie lokalnym i międzynarodowym, a konkretniej: istota sprawiedliwości społecznej; (4) mit rządu światowego w starciu z tym, co sam określa mianem „polityki udawania” – w tym kontekście powraca zagadnienie bezpieczeństwa zbiorowego; (5) stosunek wobec współczesnych form religijności

podkreśla, że „naszymi towarzyszami są tylko ci mężczyźni i kobiety, którym bliskie są, tak jak nam, ideały wolności i równości” (s. 255). Odrzuca jednoznacznie współpracę z współczesnymi autokratami czy też – jak sam mówi – „tyranami, oligarchami czy terrorystami” (s. 255). Wnioski Walzera są bardziej radykalne niż by się to na pierwszy rzut oka wydawało, bo choć autor nie mówi tego *expressis verbis*, to jednak uzasadnia on w tym miejscu wyciągnięcie przez ludzi lewicy ręki w kierunku środowisk ideologicznych, z którymi dotychczas lewica nie współpracowała, a nawet przed współpracą taką wyraźnie się wzbraniała.



Niezwykle ciekawe zdają się być te rozważania Walzera, w których odnosi się on do współczesnej pozycji międzynarodowej Stanów Zjednoczonych. Z jednej strony – wbrew wielu przedstawicielom środowisk lewicowych – opowiada się on za współczesną formą tzw. wojny sprawiedliwej, czyli za takimi interwencjami zbrojnymi, których celem będzie przywrócenie porządku i pokoju oraz zatrzymanie przemo- cy, niesprawiedliwości i rażącego naruszania praw człowieka. Podkreśla dobitnie, że „istnieją sytuacje uzasadniające interwencję humanitar- ną” (s. 132) i właśnie dlatego zadaniem ludzi

wyborcze Donalda Trumpa: *Make America great again* to jedynie kamuflaż rzeczywistej słabości amerykańskiej dyplomacji i myśli politycznej. Pewnie takie postawienie sprawy to w pewnym sensie hiperbolizacja, jednakże biorąc pod uwagę rosnące wpływy Chin w świecie i regularnie wzrastające potęgi regionalne, jak Indie, Brazylia, Niemcy czy Republika Południowej Afryki, sprawa nie wydaje się aż tak oczywista.

Walzer kończy swoją książkę postawionym mocno pytaniem: „Czy możliwa jest przyzwoita lewica?” (s. 275). Fragment ten stanowi swoistą

Walzer kończy swoją książkę postawionym mocno pytaniem: „Czy możliwa jest przyzwoita lewica?”

lewicy powinno być raczej zastanawianie się, „kto ma interweniować, jakimi środkami i kiedy zakończyć interwencję” (s. 132). Z drugiej zaś strony – wzywa jednoznacznie do zatrzymania amerykańskiej hegemonii w świecie, do „opracowania polityki nowego rodzaju” (s. 163), do „ograniczenia amerykańskiej hegemonii za pomocą kompromisu” (s. 256). Nie kryje w tym miejscu swojego krytycznego stanowiska względem retoryki dominującej po prawej stronie politycznego spektrum w poprzedniej amerykańskiej kampanii prezydenckiej, podług której celem elit politycznych powinno być „przywrócenie Ameryce wielkości”. Zdaniem Walzera, hasło

spowiedź autora, jednakże spowiedź pisaną bynajmniej nie z perspektywy jednostkowej, ale z perspektywy amerykańskich środowisk lewicowo-liberalnych. Nawiązuje on tutaj do niekonsekwencji przedstawicieli lewicy – zarówno polityków, jak też intelektualistów – w walce o lewicowe ideały. Można niewątpliwie powiedzieć, że fragment ten stanowi również swoisty żal za grzechy i postanowienie poprawy. Walzer podkreśla, że przecież „było (i jest) wiele spraw dających powody do zmartwienia: uchodźcy, głód, zapewnienie minimum prawa i porządku” (s. 277), tymczasem reakcja środowisk lewicowych na różnego rodzaju działania władz



państwowych, względem których lewicowcy powinni być głęboko krytyczni, była albo „skrajnie nieadekwatna” (s. 279), albo „głupia, przesadzona, bardzo nietrafna” (s. 283). Wyrwana z kontekstu odpowiedź, jakiej Walzer udziela na samym końcu swojej książki, a mianowicie: „Mam skromny program: postawić na przyzwoitość, a potem się zobaczy” (s. 288), zdaje się być niestety mało przekonująca, żeby nie powiedzieć naiwna. Jednakże jeśli odnieść ją

do poszczególnych wniosków i konkretnych propozycji przedstawionych w *Lewicy. Starych błędach, nowych wyzwaniach*, wówczas zdaje się brzmieć dużo bardziej wiarygodnie. ●

Przypisy:

¹M. Walzer, *Spór o wojnę*, przeł. Z. Zinserling, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2006, s. 11.

²Tenże, *Moralne maksimum, moralne minimum*, przeł. J. Erbel, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 18.



SŁAWOMIR DRELICH

Politolog i etyk; adiunkt na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu (Katedra Europeistyki); nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprówicza w Inowrocławiu; publicysta „Liberté!”; specjalizuje się w etyce polityki i etyce mediów oraz myśli politycznej (populizm, liberalizm, libertarianizm), bada polski dyskurs publiczny; autor książek „Populistów ethos zmanipulowany” i „Wojny trybuna ludowego. Przypadek Andrzeja Leppera”.

MACIEJ MELECKI

KUPNY NARÓD

Nigdy nie mógł nie żyć cudzym kosztem, przez to zawsze Ciasto zbity w supeł żądał roszczeń od innych. Kierujący Się tylko samym czubkiem buta, w cuglach, z wyciągniętą Dłonią, nie odróżniał od razu jałmużny od zapłaty. W swych Wielkopowierzchniowych sanktuariach klęczący podczas Podniesienia, wyprostowany przy wypakowywaniu nabranych Z półek towarów. Utrzymujący się w formie dzięki miejskim Siłowniom, nabywający lasy z jeziorami, zajeżdżający Główne i boczne drogi terenowymi samochodami, na każde

Dziecko mając wieloletnie pokrycie. Dotarłszy już prawie Wszędzie, zaludniając plaże nie tylko Martyniki, dociera wciąż W najdalsze katakumby swych materialnych pragnień, jakby Hipnoza była powszechnym obowiązkiem, jakby nikogo już nie Nadjadał czerw zaniku. Żyje w cywilizowanym zabobonie. Żyje z niego. Kupno to nie to samo, co czyjaś sprzedaż. Lunatyczne pełzanie po tępych krawędziach. Więcej to zawsze Bezpieczniej. Rozszczep jaźni. Autystyczne schronienie. Coraz Bardziej zaopiekowani i dopłacani. Dookolność jest tylko dla nich.

Maciej Melecki jest poetą i dyrektorem Instytutu Mikołowskiego. Dotychczas wydał dziesięć zbiorów wierszy, ostatnio *Inwersje* (2016), i zbiór prozy *Gdzieniegdzie* (2017). Laureat Nagrody Czterech Kolumn (2010) i Nagrody Otoczaka (2010). Mieszka w Mikołowie.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

**Z-ca redaktora
naczelnego:**
Magdalena M. Baran

**Wydano dzięki wpłatom
od czytelników. Szczególne
podziękowania za szczodrość
należą się:**

Jerzemu Franckiewiczowi
Adamowi Heimrathowi
Barbarze Pendzich
Radosławowi Śpiewakowi
Ernestowi Skalskiemu

Zespół *Liberté!*:

Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Krzysztof Iszkowski
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Alicja Myśliwiec
Marcin Wojciechowski

**Tłumaczenia
i współpraca zagraniczna:**
Olga Łabendowicz

Koordinacja liberte.pl
Joanna Kwiatkowska

**Promocja i kontakt
z czytelnikami:**
Magda Melnyk
redakcja@liberte.pl

Koordinacja 6. dzielnicy
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
2x3 Studio Kreatywne

Korekta
Justyna Szczypuła

Ilustracje:
Zdjęcia autorstwa Magdaleny M. Baran
Marek Lewoc
Olga Łabendowicz (s. 36, 42, 60)
Wykorzystano zdjęcia na licencji CC0

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski

Sekretarz Zarządu:
Kamil Janiszewski

Członkowie Zarządu:
Filip Miłoszewski
Rafał Szkudlarek

ISSN: 2080-4326